Nr. 51 Poznań, dnia 22 Grudnia 1907 r. Rok XI.

Abonament
wynosi kwartalnie:
na poczcie. . . 1,50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38.
Telefon Nr. 1465.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.



Zwyczajem dorocznym idziemy do Was, Czytelnicy, z opłatkiem w dłoni, aby ze wschodem Gwiazdy zanieść Wam szczere życzenia. Bierzemy je z tych ech, któremi rozbrzmiewają nasze świątynie i chaty.

„Pokój ludziom dobrej woli", powiada z nich jedno. Niechaj więc będzie pokój w Waszej chacie, ten pokój, który daje pogodę w pracy, a zasiada około obfitego plonu. Niechaj będzie i dobra wola, która nie łamie się w przeciwnościach, ale wytęża wszystkie siły do osiągnięcia celu! Niechaj się urzeczywistnią wszelkie zacne dzieła i dobre zamiary Wasze! Niech pracy Waszej błogosławi Nowonarodzone Boże Dziecię!

Ze słowami: „Pokój ludziom dobrej woli" wyciągamy do Was Czytelnicy, dłoń z opłatkiem i życzymy serdecznie: Dosiego roku! W dobrym bycie, w dobrem zdrowiu, w dobrej myśli, a zawsze przy zacnej pracy i wytrwałej woli. Niechaj Gwiazda wigilijna napoi Was ufnością i wiarą, zasieje między Was, miłość i zgodę!

Dosiego roku, Czytelnicy!

Wywłaszczenie.

Dzień 13-go grudnia jest feralnym dniem w najświeższej historyi parlamentarnej Niemiec i Prus. Przed rokiem bowiem tego dnia rozwiązał kanclerz parlament niemiecki, celem utworzenia większości blokowej i wprowadził przez to niesłychany zamęt do kraju i zaostrzył przeciwieństwa pomiędzy katolicką a niekatolicką ludnością cesarstwa. Tego roku sejm pruski, a raczej komisya, radząca nad nowemi ustawami antypolskiemi na tym samym dniu 13-go grudnia przyjęła projekt wywłaszczania Polaków z ziemi i uchwaliła mnogie miliony na kolonizacyę i działalność agrarno-germanizatorską.

Bliższe szczegóły tych fatalnych historycznych obrad i cyfry znane są naszym Czytelnikom z gazet codziennych i telegramów. Nie będziemy tu tego wszystkiego powtarzali.

Uchwalono nas wywłaszczać. Szczegół, że wywłaszczenie ograniczono tylko do pewnych niewyszczególnionych jeszcze powiatów, nie zmienia istoty rzeczy. Również fakt, że sprawa jeszcze nie przeszła pełnej izby, nie ma znaczenia. Nie należy się łudzić. Po ludzku rzeczy biorąc, ustawa o wywłaszczeniu już przeszła, należy tylko oczekiwać bliższych danych i jej ogłoszenia.

Stała się rzecz straszna. Większość reprezentantów narodu niemieckiego, żyjącego w Prusach, odebrała jednem pociągnięciem pióra mniejszości polskiej prawo spokojnego posiadania kawałka roli.

Po wsze czasy własność uchodziła za rzecz świętą i nietykalną. W dwudziestym wieku za panowania oświaty i „niezależnej“ moralności, rzucono zasadę tę — o ile ona dotyczy Polaków — pomiędzy stare rupiecie. Nie stało się to w Chinach, ani w Turcyi, ani nawet w „barbarzyńskiej“ Rosyi, lecz w państwie kultury i bojaźni Bożej, na samym froncie, w samem sercu wysoko ucywilizowanej Europy. Nie dzikie azyatyckie lub afrykańskie plemie, lecz naród poetów i myślicieli, naród chrześcijański mający wysokie wyobrażenie o swej misyi kulturalnej i cywilizacyjnej, płonić się musi na myśl, że znalazła się pomiędzy nim dostateczna ilość wpływowych ludzi, którzy taką umożliwili ustawę.

Zaiste, to, co się stało, zgoła niepodobne jest do wiary. Jeżeli już wstydem było wielkim, że takie myśli krążyły wśród prasy hakatystycznej, to gorzej było, że znalazł się rząd, który je podchwycił i uczynił podstawą przedłożenia ustawodawczego, to zaś, że o takiem przedłożeniu mogła być wogóle mowa w zgromadzeniu „najlepszych w narodzie,“ a zgoła, że znalazło tam aprobatę, jest czemś tak dalece potwornem, że nie znajdujemy słów, aby rzecz tę godnie nazwać i określić.

Stała się rzecz niebywała, zapadła uchwała, która kłam zadaje wszelkiej etyce, kulturze, cywilizacyi, uchwała złowroga, która każdego patryotę niemieckiego powinna przejąć drżeniem, gdyż pokazuje ona jasno, że w narodzie, gdzie takie ustawy są możliwe, coś się psuje i rozprząga, że rozwielmożniła się tam choroba, która zaciemniła umysły, obałamuciła sumienia, zachwiała najelementarniejsze uczucia ludzkie...

I zaiste, jeżeli coś podobnego jest możliwem, cóż tedy jest niemożliwem — pytać należy! Nazwano Prusy krajem nieograniczonych możliwości. Pokazuje się, że ów pesymista miał słuszność. W Prusach wszystko jest możliwem. A my zawsze łudziliśmy się, że gorzej, jak jest, być nie może. W Prusach krąży stara bajka o młynarzu z Sans Souci, który królowi Fryderykowi II. śmiał rzucić w twarz słowa: są jeszcze sędziowie w Berlinie. Stało się to, gdy Fryderyk groził poczciwcowi przymusowem wywłaszczeniem. My Polacy tysiąckroć powtarzaliśmy te legendowe słowa. Sprawiedliwość pruska zdawała się nam być czemś niewzruszonem. Niebawem słowa te będą pustym dźwiękiem, gdyż sędziowie utracą podstawę ferowania wyroków w sprawie posiadania ziemi, , albowiem prawodawcy wyjmują nas pod tym względem z pod prawa, a raczej ogłaszają „prawo,“ wymierzone przeciw nam.

Niech to zrozumie, kto może.

W wojnie, jak na wojnie się mówi. To prawo wojenne, prawo, jakie zwycięsca dyktuje zwyciężonemu. Azali jednak państwo opiera się na wojnie z obywatelami? Czyż przez to nie zwalnia obywateli z obowiązków względem siebie? Jakże można żądać od obywatela podatków z krwi i mienia, jeżeli mu się odmawia praw? A potem wojna, to pojęcie dwustronnych nieprzyjaznych aktów. My tylko po jednej stronie widzimy akty nieprzyjazne i to nie po stronie polskiej. Jeszcze w ostatnich czasach po naszej stronie odezwały się mnogie głosy pojednawcze. Nie zawtórowały im z przeciwnej strony — mamy tu na myśli rząd — podobne, przeciwnie, odrzucono wszelką myśl zgody z Polakami, silnie zaakcentowano stan walki. Prawda, mówiono o zgodzie. Gdy poseł Dziembowski informował w komisyi przeciwników, że w społeczeństwie polskiem nie brak żywiołów pragnących działać celem zbliżenia poważnionych stron, odpowiedziano mu od stołu rządowego, że to, co poseł polski mówi, słyszy się sympatycznie, jednakże zgodę wyobraża sobie rząd tylko tak, iż on będzie dyktował prawa i warunki zgody.

Odpowiedź ta brzmiała w naszem uchu, jak szyderstwo. Odpowiedź ta jednak równocześnie wykazała, że po tamtej stronie nie ma najmniejszych inklinacyi do zgody, że ona tam w obecnej chwili pożądaną nie jest i — jak się sprawy obecnie układają — nie tak prędko pożądaną będzie.

Na myśl o tem wszystkiem, co w ostatnich czasach się czytało, słyszało i doświadczyło, możnaby ręce opuścić. Przyznać bowiem należy, że naród niemiecki, że cała Europa pilnie się nami zajęła. Gazety roiły się od artykułów Polakom — jeżeli nie przychylnych — to przynajmniej ostro protestujących przeciwko nowym gwałtom antypolskim. Nie brakło demonstracyi, nawet parlament austryacki za nami przemówił. Wszystko na nic. Wywłaszczenie przeszło.

Możnaby stracić wszelką otuchę, wszelką chęć do walki, a nawet do życia. W krzywdzie spoczywa coś straszliwie demoralizującego.

A jednak nam nie wolno wątpić, nie wolno oddawać się przygnębieniu, nie wolno się zachwiać!

Mogą zachodzić i zachodzą w życiu narodów chwile, że zdaje się, iż wszelka nadzieja już zamarła, iż znikąd nie ma ratunku, rozum ustaje, obliczenia zawodzą, nie zdaje się zostawać nic, jeno śmierć niechybna. Nasz naród przechodził takie chwile częściej niż raz, a jednak przy pomocy Bożej zawsze szczęśliwie wypłynął z toni, wzmocniony na ciele i duchu.

I dziś, gdy na nas wali się nowe nieszczęście, nie dziw, że gorzkie słowa cisną się na usta, że owłada nami przygnębienie. Lecz to tylko chwila. Naród taki jak nasz — to wielka potęga. Ma on w swojem łonie niespożyte siły i zdolności, to nie licha łupina rzucana falami wezbranego morza, lecz potężny okręt, który najsroższe zniesie uderzenia i potrafi przybić do bezpiecznej przystani.

Niech huczy morze! My wytężajmy wszystkie siły rozumu, serca i charakteru i pracujmy nad naszem ocaleniem, a Bóg, w którego rękach spoczywają losy narodów, nas nie opuści. A jeżeli by miała kiedyś nastać dla nas owa straszna chwila najwyższego niebezpieczeństwa, wtedy sam Bóg Wszechmocny wstąpi na pokład naszego okrętu i wesprze nas swą przemożną dłonią. Boć my mamy za sobą prawo i słuszność, bo my bronimy tego, co całej ludzkości świętą jest spuścizną. Prędzej czy później zwyciężymy, bo zwyciężyć musimy.

Nie zginiemy! Niech kraczą złowróżbne kruki, niech przemoc cieszy się i zaciera ręce. My wiemy, że mimo wszystko przyszłość jest nasza. O bycie lub niebycie narodów nie decyduje na szczęście jeszcze sejm pruski. I nie na to dał nam Bóg tyle miłości i zapału dla świętej sprawy naszej i tyle nam za nią przecierpieć kazał, abyśmy mieli upaść wpół drogi i więcej się nie podnieść.

A więc: w górę serca!

Z opłatkiem.

Grudzień na niebie, gruda na glebie,
Z chmur ledwie gwiazda świeci,
A my przed siebie—patrząc za siebie—
Idziemy wśród zamieci.

Idziem i niesiem pod szatą szronu,
Gdzie serce drży jak ptaszę,
Te białe chleby z łońskiego plonu,
Bogactwo całe nasze.

A kiedy stajem w progu świetlicy,
Echo przed nami niesie:
Pokój wam wszystkim, wy pracownicy
I pokój waszej strzesie!

Już złota gwiazda z głębi zamglonej
Na nowe wschodzi lato,
Niech miłościwe wyda wam plony,
A szczodrze! a bogato!...

Niech, jak las, będą przeniczne kłosy,
I setne będą ziarna,
I chlebem życia za potu rosy
Zapłaci ziemia czarna.

Błogosławiona niech będzie niwa,
Co każdy znój zbogaca,
I praca waszych rąk nie leniwa,
A za trud — godna płaca!

Błogosławieni niech będą ludzie,
I możni i biedacy,
Co wielką wiarę składają w trudzie,
I wielką miłość — w pracy.

. . . .

Grudzień na niebie, gruda na glebie,
Z chmur ledwie gwiazda świeci,
A my przed siebie — patrząc za siebie
Idziemy wśród zamieci.



Z opłatkiem.

Idziem i niesiem pod szatą szronu,
Gdzie serce drży, jak ptaszę,
Te białe chleby z łońskiego plonu,
Bogactwo całe nasze.

A gdy przejdziemy za progi chaty,
Dzieląc się w krąg opłatkiem,
Ta garść przeniczna — na plon bogaty
Niech będzie wam zadatkiem.

Bożydar.

Święto wesela i miłości.

Zbliża się dzień radości, dzień światła i szczęścia dla wszystkich! Bo nietylko dzieci wyczekują z upragnieniem „Gwiazdki,“ ale i rodzice i domownicy cieszą się na ten dzień uroczysty. W obec pięknie przystrojonego drzewka w obec uniesienia dziatwy, musi każde, chociażby najtwardsze serce, poddać się urokowi tego dnia i odczuwać radość ogólną.

Boże Narodzenie — to święto wesela i miłości! Przez cały rok nie łączą się ludzie i nie zbliżają do siebie tak, jak właśnie teraz, jest to bratanie się wszystkich chrześcian, które odsuwa wszelkie samolubstwo i wiąże nas równemi uczuciami miłosierdzia i dobroczynności.

Bo nigdy nie mamy tyle okazyi czynienia dobrego innym jak na Boże Narodzenie. Ile możemy uszczęśliwić biednych sierot i kalek i tych, którzy nigdy szczęścia nie zaznali. Tym wszystkim życzymy z całego serca „wesowych i swobodnych świąt“ i staramy je się uprzyjemnić im według możności. W najdalszych okolicach świata, wszędzie, gdzie tylko chrześcijanie się znajdują, słyszeć można dziś życzenie „wesołych świąt.“

Ale Boże Narodzenie jest także świętem odmłodzenia. Rozpromienione twarzyczki dzieci, wesoły gwar na ulicach, blask świeczek na drzewkach, wszystko to orzeźwia nasz umysł i serce, jak świeży deszcz orzeźwia spieczoną i suchą ziemię. Stajemy się lepszymi, nabieramy więcej odwagi i otuchy i serca nasze są przystępniejsze wszelkim szlachetnym uczuciom. Żałować należy takiego, który by w dzień Bożego Narodzenia jednej chociaż tylko istocie nie chciał sprawić jakiej przyjemności!

A jak piękny widok przedstawia się wszędzie naszym oczom! W samotnej górskiej dolinie, gdzie jedna tylko stoi chata, jaśnieje przez małe okno blask świeczek na drzewku. Ile poezyi, ile uroku roztacza takie drzewko!

Albo w małej wiosce, gdzie na drogach, śniegiem zasypanych, dążą ludzie do kościoła na Pasterkę! Przez okna świątyni bije snop światła, a dzwony wołają nam śpiżowym dźwiękiem: „Chwała Bogu na wysokości a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.“

Ale i w mieście nie mniej dziś pięknie. I tu biegną nabożni do kościołów, i tu jaśnieją liczne drzewka, a jaki dopiero przepych w oknach wystawnych! Jakie tłumy dzieci gromadzą się przed sklepami zabawek, z jaką rozkoszą patrzą na ruszające się figury — są to po części biedne dzieci, które nie posiadają własnych zabawek, bawią się chociaż widokiem prześlicznych cacek w oknach wystawnych!

Otwórzmy dziś więc serca nasze i — kieszenie! Starajmy się uszczęśliwić chociaż jedno takie biedne, wydziedziczone stworzenie, obdarzmy je jaką drobnostką, a wdzięczność i radość dziecka wynagrodzi nam sowicie mały wydatek!

Empa.

Żłobek Pański

jak go w ciągu wieków przedstawiano.

W ciemnych galeryach katakumb, rozciągających się pod bazyliką św. Sebastyana na Via Appia w Rzymie, w zagłębieniu muru bezimienny malarz



Rzeźba w kości słoniowej na tronie biskupim Maksymiana w Rawennie.

z pierwszych wieków chrześciaństwa, wymalował drewnianą ławkę, na której leży spowinięte w pieluszki boskie Dzieciątko, a przy niem wół i osiołek. Jakaż olbrzymia przestrzeń dzieli to



Mozajka w kościele N. M. Panny na Zatybrzu w Rzymie.

pierwsze, naiwne malowidło, przedstające narodzenie Chrystusa, od arcydzieła Corregia przedstawiającego tę samą chwilę.

Pierwszy ten malarz chrześciańskiej ery przedstawił chwilę narodzenia Zbawiciela według ewangelii św Łukasza i św. Mateusza.

Ewangelia św. Mateusza opowiada o narodzeniu Jezusa w Betleem, Judzkiej ziemi, za czasów króla Heroda, i o mędrcach ze Wschodu, którzy ujrzawszy gwiazdkę na niebie, poszli za nią, by hołd oddać Dzieciątku. I o tem jak Marya owinęła dziecię w pieluszki, i złożyła je w żłobie, — jak pasterze czuwali przy trzodach, gdy ukazał się im Anioł w obłoku światłości, i spełniając boskie poselstwo wezwał ich do Dzieciątka, a potem, otoczony rojem aniołów, głoszących chwałę Boga, uleciał w niebo.

Ewangelia św. Łukasza nie wspomina wcale o mędrcach ze Wschodu, ale oba teksty zlały się w jedno, i zmieszały w duszach pobożnych wyznawców Chrystusowej nauki. Lecz dopiero w czwartem stuleciu ukazują się płaskorzeźby na sarkofagach i malowidła w katakumbach.

Pierwsi chrześcianie niechętnie przedstawiali sceny rzeczywiste i konkretne, z wyjątkiem tych, które mogły oświetlić wzniosłą postać Zbawiciela, i okazać go w ludzkiej, cierpiącej postaci, w ubogim żłobku stajenki, lub na hańbiącem drzewie krzyża Golgoty. Sztuka ich prosta, abstrakcyjna, o charakterze czysto idealnym — odziedziczywszy głębokie symbole semickiej rasy, nie szukała rozkoszy dla oczu, ale raczej mglistego zobrazowania dalekich od rzeczywistości i życia zjawisk, powstających w duszach stęsknionych do nieba. W pierwotnych obrazach, które przedstawiają narodzenie Chrystusa, pierwsi chrześcianie połączyli opowieść Ewangelii z proroctwami biblijnemi.

W ich duszach, rozpłomienionych miłością, ukazywało się Dzieciątko Jezus jako zapowiedziany przez proroków poseł Pokoju zrodzony wśrod ludu. Zjawienie jego rozjaśniło mroki, w jakich lud ten spędzał życie i schodził do grobu. I wspomnieli słowa proroka, głoszącego na ziemi i w niebie gniew Pana — gromiącego Jeruzalem surowemi słowy: „Wół poznał swego Pana, i osiołek pasterzy, ale Izrael mnie nie poznał, i lud mój nie zrozumiał słów moich“...

Z powodu tych słów proroka, zwierzęta znalazły miejsce przy żłobku, w którym urodził się Zbawiciel, a nie było nic takiego, coby ich obecność w tem miejscu i chwili czyniło nieprawdopodobną. A że każda forma sztuki musi być pewnym symbolem, przenośnią, upostaciowaniem jakiejś idei, więc i ojcowie kościoła w postaciach wołu i osła przedstawiali żydów i pogan. Święty Ambroży wspomina, że osiołek jest obrazem pogan, a święty Grzegorz, uważa wołu za symbol Izraelitów, skrępowanych mnóstwem przepisów, osła zaś za symbol tych, którzy dźwigają ciężar bałwochwalstwa.

Taki symbolizm nie mógł przemawiać do duszy artystów, bo ojcowie kościoła odsuwali się od rzeczywistości i od życia, gdy artyści do nich dążyli; tamci usiłowali przysłonić historyczną rzeczywistość mistyczną zasłoną — ci zaś przedstawiali w nowych utworach legendy przeznaczone dla ludu. I tym sposobem wół i osioł, choć postradały swoje alegoryczne znaczenie, znalazły jednak miejsce w dziełach sztuki. Z upływem czasu przenośnia zatarła się zupełnie i pozosłały tylko wyraźne rzeczywiste postacie.

Scena narodzin Chrystusa odziedziczyła z pogańskiej sztuki osoby pasterzy, które powstały na tle zamiłowania przy-



Stajenka Betlejemska według obrazu Jakóba Aranci w kościele św. Jerzego w Padwie.

rody, opiewanej przez poetów. Już w mrokach katakumb, pierwsi chrześcianie przedstawiali sobie „dobrego pasterza“ pod postacią skromnego wieśniaka, a zdjąwszy z jego ramion baranka, ustawili go z towarzyszami w sta-

jence rozjaśnionej światłem, promieniejącem od postaci Dzieciątka.

Ubrali go w krótkie szaty i dali mu w rękę zakrzywiony kij satyrów i centaurów. W pośród drzew ukazuje się



Narodziny Chrystusa Pana według starego obrazu Benozza Gozzoli, w kaplicy pałacu Ricardich we Florencyi.

ten pasterz, podobny do leśnego półbożka, ale serce jego jest wierne, szczere i uczciwe.



Narodziny Chrystusa Pana według Corregia, w pałacu „delli Uffizzi" we Florencyi.

Chrześciańscy rzeźbiarze tak samo jak pisarze, zachowują styl pogański, gdy dłutem sławią zwycięstwo nowych wierzeń religijnych. I dla tego przedstawiają Maryę, siedzącą przy żłobku, podobną do starożytnego posągu skromności, a mędrcy ze Wschodu pogańskim zwyczajem przynoszą w ofierze rogi obfitości i kosze pełne owoców zamiast tradycyjnego złota, kadzidła i myrry.

Kiedy w szóstem stuleciu rozpowszechniła się podrobiona Ewangelia pseudo-Mateusza, scenę narodzin Chrystusowych zaczęto przedstawiać w sposób więcej zbliżony do rzeczywistości, odrzucając mistyczne zasłony. I dopiero wtedy występują na scenę Zelomi i Salome, oraz postać Józefa, opiekuna świętego Dzieciątka. Marya leży na łożu a Zelomi i Salome stoją przy niej i kąpią Dzieciątko. Płaskorzeźba z kości słoniowej na tronie biskupim Maksimiana w Rawennie przedstawia Dzieciątko śpiące w żłobku, przy którym wół i osioł hołd składają. Józef, starzec herkulesowej budowy czuwa nad niem, a święta Dziewica leży na bizantyńskiem posłaniu i z przerażeniem patrzy na Salome ukazującą jej swą uschłą rękę, jako karę za niedowiarstwo. Ten sam motyw powtarza się w mozajkach kaplicy Jana VII u świętego Piotra w Rzymie, i w muzeum bolońskiem. Przez długie wieki przedstawiano go tak bez zmiany, dla postrachu niedowiarków.

Miłość macierzyńska uwydatniona jest dopiero w obrazie Giotta znajdującym się w kościele świętego Franciszka w Assyżu, gdzie przedstawiona jest Marya podnosząca w górę spowinięte Dzieciątko i wpatrująca się w nie z miłością, gdy wół i osioł przyglądają mu się z zadumą. Z pod dachu stajenki cały rój aniołów opuszcza się na ziemię, nad stajenką unoszą się także anioły śpiewając hymny radosne, pasterze stojący poza swą trzodą patrzą z zachwytem w zastępy anielskie, a święty Józef, stoi głęboko zamyślony. Od tego obrazu Giotta zaczyna się przedstawienie narodzin Chrystusa jako radosnej i uroczystej chwili chrześciańskiej epopei, w formie, która następnie przerodziła się w przedstawianie żłobka. W tym samym rodzaju jest mozaika znajdująca się w kościele Santa-Maria w Trastevere z r. 1290, a przedstawiająca domek na szczycie góry, z której wypływa źródło oliwy, symbol nauki Chrystusowej. Od piętnastego wieku



Rzeźba niewiadomego autora, znajdująca się w galeryi królewskiej w Monachium.

malarze zaczynają przedstawiać żłobek w odmienny sposób. Święta Dziewica nie siedzi już na worku zdjętym z grzbietu osiołka, lecz klęczy, wpatrując się w boskie Dzieciątko i jak gdyby modliła się do niego. Tak ją przedstawia Fra Angelico, w otoczeniu chórów anielskich.

Promienie otaczające aureolą głowę Dzieciątka, ustępuje miejsca światłości, promieniejącej z całej Jego postaci. Jakób Avanci chcąc uwidocznić ten



Narodziny Chrystusa Pana według obrazu Boticellego.

blask nieziemski, przedstawia świętego Józefa, przysłaniającego oczy prawą ręką.

U malarzy szkoły toskańskiej, scena narodzenia Chrystusa ukazuje się oczyszczona zupełnie ze średniowiecznych realistycznych akcesoryów i znikają paste-

rze, wół i osioł, żłobek, łoże, poduszki, Zelome i Salome — a co najwyżej widnieją w dali postacie pasterzów. Odrębnem pojęciem i przedstawieniem tego samego tematu, odznacza się obraz Piera della Francisko znajdujący się w Galeryi Narodowej w Londynie.

We Florencyi, w pałacu Riccardo jest obraz Bennozza Riccardi, który przedstawia fantastyczny ogród pełen kwitnących kwiatów, wysokich sosen, cyprysów i palm. Nad ogrodem kołyszą się na obłokach aniołowie. Na pierwszym planie stoi hufiec aniołów ze skrzydłami o pawich piórach, śpiewając hymny. Drugi hufiec klęcząc z pochylonemi głowami i złożonemi rękoma, modli się do Dzieciątka, a z ogrodu unoszą całe pęki kwiecia skrzydlate dziewice w białych szatach. Tak florencka sztuka z czasów Odrodzenia przedstawiała Noc Narodzin Chrystusowych.

W północnych Włoszech, zwłaszcza w Ferrarze, obrobienie tego samego tematu, począwszy od szesnastego wieku, zrobiło wielkie postępy. Światło nabiera więcej blasku i oświetla twarze wszystkich obecnych w stajence, postacie są pełne wdzięku i natchnienia; zdaje się, że są zasłuchane w nadziemskie chóry, wpatrzone w cudowne zjawisko niebiańskiej sfery.

W „Narodzeniu Chrystusa“ Corregia widzimy świętą Dziewicę oddającą pokłon Dzieciątku.

Ale szczyt doskonałości osiągnął Corregio w swej kompozycyi, znanej ogólnie pod nazwą „Narodzenie Chrystusa“, a znajdującej się w Galeryi Drezdeńskiej. Na tym obrazie światło bijące od Dzieciątka rozjaśnia twarz Matki, promienieje na postaciach pasterzy i aniołów, unoszących się w górze. To arcydzieło Corregia zamyka długą i mozolną drogę, jaką przebyła sztuka malarska, zacząwszy od pierwszych, nieudatnych prób w katakumbach rzymskich. Lecz obrazy i rzeźby nie mogły zadowolić gorąco wierzących i rozmiłowanych w Boskim Mistrzu dusz pierwszych Jego wyznawców, i ta potrzeba uzewnętrznienia uczuć wywołała urządzanie tak zwanych „żłobków“ po klasztorach i kościołach, który to zwyczaj przetrwał i do naszych czasów. Scena narodzin w stajence, z nieodłącznymi pasterzami, wołem i osłem, budziła i budzi gorący zachwyt i rozrzewnienie w sercach prostaczków, cisnących się do oglądania „żłobka“, z którego z czasem powstały „jasełka“, gdzie żywi ludzie odgrywają role pasterzów, mędrców ze Wschodu i aniołów, z dodatkiem Heroda i rzymskich siepaczów. Wspomnienie uroczystej nocy, stworzyło też całą gałęź ludowej poezyi, znanej u nas pod nazwą „kolend“. Niektóre z nich opisują „żłóbek“ taki, jaki pojawił się po raz pierwszy w rzymskich katakumbach, z tą naturalnie zmianą, że „pasterze“ noszą imiona Wojtków i Maćków, i składają w darze Dzieciątku polskie przysmaki: kołacze i serki.

M. G.

Tradycye świąteczne u nas i u obcych.

Bożego Narodzenia święto należy do najdawniejszych w chrześciaństwie. Już w II-iem stuleciu jest ono kościelnem i jako takie obchodzą je w Antyochii. Niektórzy autorowie utrzymują, że zaprowadził je w obrzędach kościelnych biskup Telesfor w 138 roku. Podówczas jednak należało do świąt ruchomych, obchodzono je w styczniu, to znów w maju i dopiero w IV stuleciu, staraniem Cyrylla, biskupa Jerozolimy Papież Juliusz I-y zwołał na radę biskupów kościoła wschodniego i zachodniego; na której uchwalono, żeby dzień urodzin Zbawiciela obchodzić stale 25 grudnia. Na taką uchwałę, mogła między innemi, wpłynąć i ta okoliczność, że w tym dniu przypada porównanie dnia z nocą, zatem niejako narodziny słońca, inni twierdzą, że dnia tego poganie obchodzili swoje Saturnalia. Prawdopodobnie uchwała Ojców kościoła rzeczywiście miała na celu uszanować zwyczaje dawne, bo w tym samym czasie i Słowianie pogańscy obchodzili święto Koladu, święto bożka porządku (ladu) i zgody. Chrześcianie wyznaczywszy na ten dzień święto Bożego Narodzenia, uszlachetnili zwyczaje, do dni ostatnich grudnia przywiązane u ludów przedtem pogańskich, i tym sposobem utorowali drogę podniosłej uroczystości do zamienienia się jednocześnie w święto ludowe.

Obrzędy kościelne w dzień Bożego Narodzenia są niezmiernie solenne, mają charakter radości serdecznej, powszechnego wesela. Zwyczaj odprawiania trzech Mszy Świętych pochodzi z Rzymu. Pierwsza zowie się Anielską i wyobraża doczesne narodzenie się Jezusa z Maryi Panny w Betleem; druga Pasterska i wyobraża duchowne narodzenie się Zbawiciela w sercach wiernych; trzecia — Królewska wyobraża przedwieczne narodzenie Syna Bożego z Boga Ojca.

W wiekach średnich, w kościołach katolickich epizody Bożego Narodzenia przedstawiano scenicznie. Urządzano szopę, w niej żłób (jasełka) z Dzieciątkiem, obok umieszczały się osoby, poprzebierane za Najświętszą Pannę, świętego Józefa, pasterzy, monarchów Wschodu i t. p. Zwyczaj urządzania takich jasełek zaprowadził święty Franciszek Seraficki, pragnąc przez uzmysłowienie pamiętnego zdarzenia umocnić wiarę i wzbudzić większą pokorność w wiernych. Z biegiem czasu zaprowadzono do jasełek dyalogi: gdy te jednak stawały się coraz bardziej rubasznemi, nielicującemi z powagą przedmiotu i miejsca — władza duchowna była zmuszona usunąć je ze świątyń, pozwalając jedynie śpiewać kantyczki. Treść kantyczek we wszystkich krajach zawsze była naiwna, prosta, lecz pełna wdzięku. Nasi wieśniacy, podczas Pasterki, na pamiątkę, że wtedy właśnie Dzieciątko odbierało hołd od pasterzy i zwierząt, zgromadzonych w stajence, naśladują bek owiec, ryk wołów, śpiew i świegotanie ptactwa. W Hiszpanii, nie dawniej niż przed stu laty odbywały się jeszcze w święta Bożego Narodzenia obchody okolicznościowe w kościołach. Aktorzy przywdziewali maski, stroje mieli bardzo nieodpowiednie, w rękach trzymali kastaniety, bębny, gitary i skrzypce. Nagle wpadały do kościoła kobiety i dziewczęta, śpiewając i tańcząc, z płonącemi pochodniami w rękach, podczas tych przedstawień, trwających przez całą noc wigilijną urządzano sute bankiety.

Początek spożywania uczty wigilijnej sięga wieków średnich. Uczty takie bywały zawsze wesołe. W każdym domu chrześciańskim poświęcano wtedy choinę, wylewano na nią wino, mówiąc: W imię Ojca i Syna. — Stąd ma pochodzić zwyczaj przystrajania i oświetlania choinki.

W południowej Francyi dzień wigilijny nie jest prostym, przeciwnie święto rozpoczyna wspaniała wieczerza mięsna. Stół umieszczają naprzeciwko ogniska, przystrajają liśćmi wawrzynu i suchą gałązką oliwną, z roku na rok starannie przechowywaną. Przed wieczerzą odbywa się uroczysta ceremonia poświęcenia ognia w ten sposób: najmłodsze dziecko rodziny klęka przed płonącem ogniskiem i powtarza podpowiadane mu przez ojca modlitwy, w których zwraca się do ognia z prośbą, aby przez całą zimę rozgrzewał skostniałe nogi sierotek, starców, kalek, dawał światło i ciepło nędznym chatom, lecz żeby nigdy nie niszczył dobytku ubogich rolników, ani okrętów wiernych żeglarzy po bezbrzeżnych przestrzeniach wód. Odmówiwszy te modlitwy dziecko wyle-

wa na ogień szklankę gotowanego wina, następnie cała rodzina zasiada do wieczerzy.

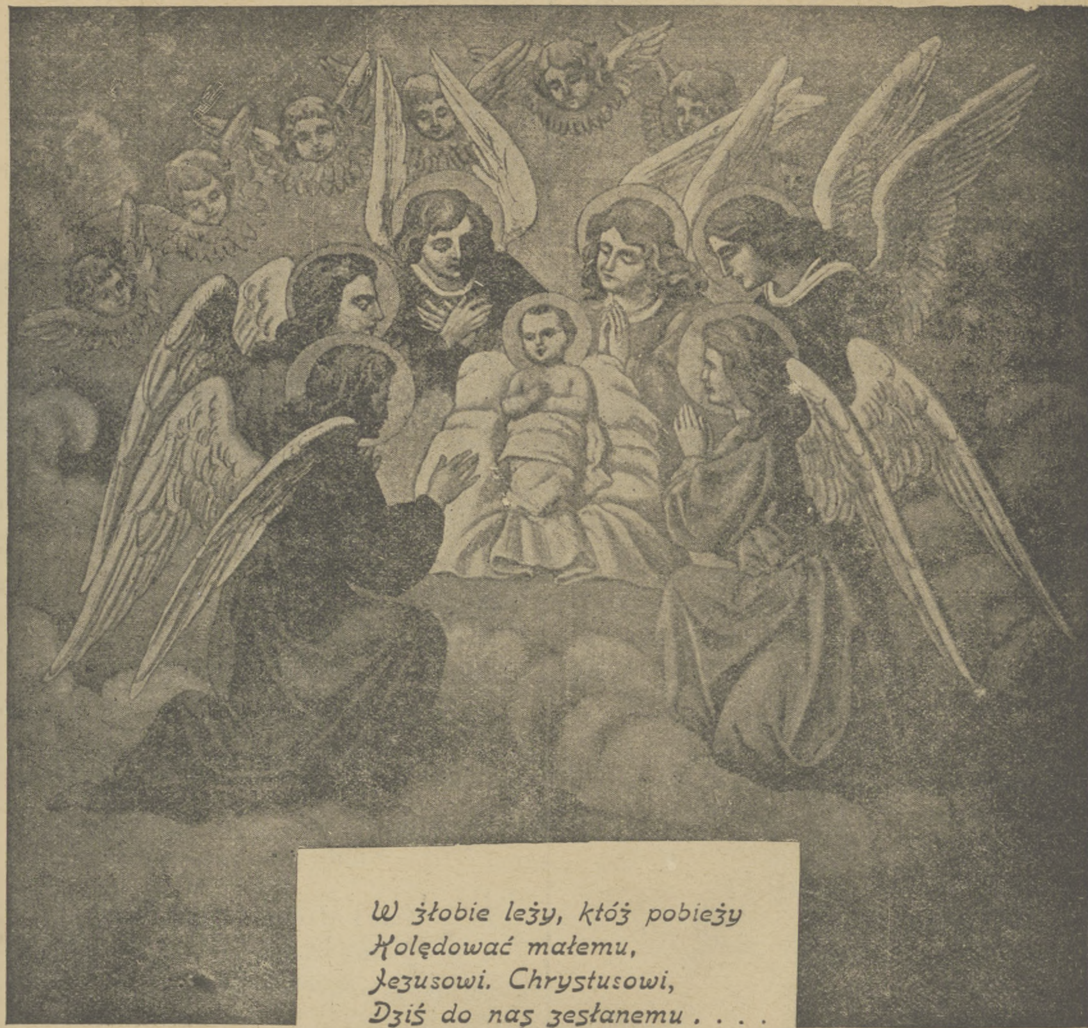
Noc wigilijna jest we Francyi południowej właściwem świętem. Wolno wtedy biedakom żebrać publicznie, zbierać datki za zbieranie kolend i t.p. Dzieci rzucają im jałmużnę w woreczkach z papieru, którego końce zapalają, żeby biedak widział, gdzie upadają pieniądze. Również we Francyi południowej wieśniacy pod stół wigilijny kładą część jadła dla zmarłych członków rodziny.

Zwyczaje opisane są nieco zbliżone do naszego ludu. W niektórych okolicach parobcy wiejscy, udają się po kolendzie; przebierają się za żebraków, pielgrzymów, żołnierzy wędrownych i t. p. Pewną łączność ze święceniem ognia we wsiach francuskich ma zwyczaj przechowywany u nas w dzień św. Szczepana. Parobcy dnia tego, z przewiązanemi przez ramię torbami, w których znajduje się wszelkie ziarno, obchodzą chałupy i dwory, rzucając przed każdym po garści zboża, wołając:

— Zdarzaj, Boże, pszenicę i ziarno wszelkie!

U nas może więcej niż gdzieindziej Boże Narodzenie stało się świętem ludu. Do najbardziej charakterystycznych zwyczajów należy zwyczaj kolendowania, coraz więcej ulegający zapomnieniu. Ongi plebani obowiązkowo musieli objeżdżać dwory i chaty w sam dzień wigilii. Prowincyonalny synod gmiński w roku 1628 polecił im, żeby podczas tych objazdów upominali grzeszników, słuchali katechizmu, nieśli pociechę cierpiącym. Proboszcz wszędzie śpiewał pieśni, błogosławił, rozdawał opłatki. Takie odwiedziny ks. proboszcza witane były ze szczerą radością. Dziewczęta po jego odejściu ubiegały się o to, żeby co prędzej miejsce na krześle, na którem on siedział, zająć, która z nich bowiem pierwsza usiadła, ta miała najpierw z obecnych rówieśniczek wyjść za mąż w tym roku. Z biegiem czasu objazdy kolendowe, wskutek wzrostu ludności, nie kończyły się w święta, lecz trwały aż do Wielkiego postu. Parafianie składali podówczas ofiary w naturze lub w gotówce. Tu proboszcz otrzymywał kurczęta, tam po pół głowy wieprzowej, w pewnych ziemiach całe wsi składały mu dar zbiorowy, w postaci kilkudziesięciu łokci kiełbasy. W Prusach ofiary kolendowe stanowiły cały dochód plebanii.

Oryginalne zwyczaje przechowują się na Podlasiu. W dzień wigilijny



W żłobie leży, któż pobieży
Kolędować małemu,
Jezusowi, Chrystusowi,
Dziś do nas zesłanemu . . .

po kolendzie chodzą dzieci, śpiewając dawne wielce rzewne pieśni: otrzymawszy datek, podskakują wesoło, rzucają go do sakwy, wykrzykując: — Hop! Kolenda! — Zaraz po świętach, zbierają się parobcy i dziewczęta, gospodyni piecze placki, pierogi, gotuje mięsiwa; uczta to południowa, przygotowana z datków otrzymanych w dzień wigilijny. Tego samego dnia wieczorem, chłopcy, okrywszy się kożuchem na wywrot, udając rozmaite zwierzęta, zbierają kolendę powtórnie. Towarzyszą im dziewczęta cudacznie poprzebierane. Dziewczęta, wszedłszy do chaty, rzucają na ogień siemię lniane; podsycają tym sposobem płomienie, obszedłszy w ten sposób całą wioskę, orszak wraca do chałupy przeznaczonej na biesiadę; tu obierają z pomiędzy dziewcząt gospodynię, która z zebranych darów kolendowych przygotowuje ucztę. Bez wódki i piwa obejść się nie może. Po uczcie, na tańcach i śpiewach przechodzi noc cała.

W dawnej Polsce chodzono po kolendzie z wilkiem lub kurem; za czasów Mikołaja Reja chadzano z wilkiem żywym, a w ostateczności obnarzono jeno skórę tego zwierzęcia. Skąd powstało przysłowie: „Biega z nim, by z wilczą skórą po kolendzie." Zwyczaj składania podarunków, dziś będący przywilejem przeważnie dzieci, należy do bardzo dawnych. W wielu krajach znano go już w XIII. stuleciu. Jeden z historyków francuskich objaśnia, że ongi podarunki ograniczały się na placku świątecznym i kurze pieczonej. Dary te zanoszono przyjaciołom, śpiewając kolendy. U nas wydatki na dary kolendowe stale obciążały budżety królów i magnatów. W rachunkach Zygmunta I-go znajdujemy następującą notatkę, pod datą Bożego Narodzenia: Panom wikaryuszom na kolendy złp. 10. Trynitarzom winszującym złp. 30. Żakom grającym komedyę niemiecką grzywnę 1 groszy 24. Hojnym rozdawaczem kolend był Zygmunt August. Magnaci również hojnie szafowali niespodziankami świątecznemi; dawali dworzanom i krewnym swoim to konia z rzędem, to pas lity: to kołpak soboli, zbroje, delie, szable drogiemi kamieniami wysadzane, kiesy ze złotem, a czasem i wioski. Mniej zamożna szlachta ograniczała się na posyłaniu przyjaciołom flasz z gorzałką gdańską i pierników toruńskich. Bywało, że hojna kolenda przyczyniała się do ruiny fortuny magnackiej, czego dowodzi wiersz Chróścińskiego, rymopisu z czasów Jana Sobieskiego: „Wszystko zniszczało, wszystko w jednym pę-

dzie wziął nieprzyjaciel, jako po kolendzie.“ Okazuje się z tego, żeśmy więcej stosowali się do przysłowia: „zastaw się, a postaw się,“ niż do względów oszczędności.

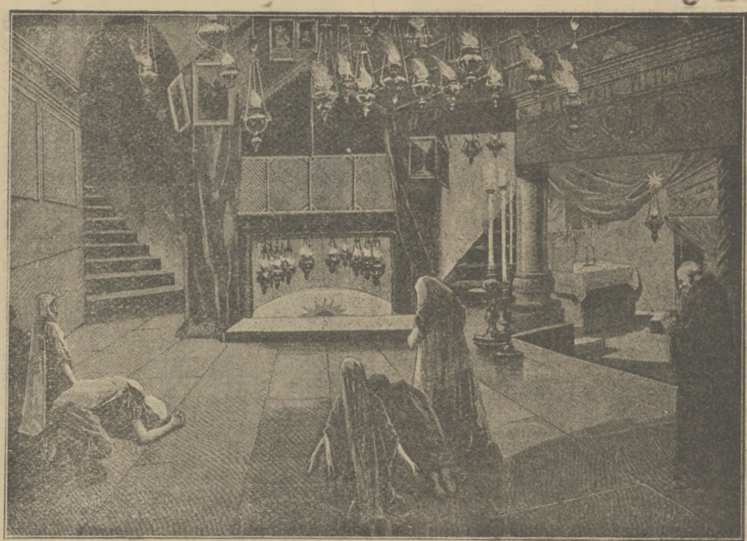
Kustosz.

Na Pasterkę.

Zabrzmiał dzwonek w nocnej ciszy,
Posłał piosnkę swą do sioła...
Do okienek w chatach dzwoni,
Na „Pasterkę wiernych woła.“
Chodźcie! chodźcie!... Cud się spełnił...
Na sianeczku w stajeneczce
Obaczycie, pochwalicie...
Pastuszkowie cześć oddali,
I wy spieszcie — powitajcie...
„Chwała Bogu w wysokościach“
Z łzą radości zaśpiewajcie!
Dzwonek woła — my śpieszymy,
Na „pasterkę“ do kościoła,
A noc jasna i spokojna
Świat uśpiła do około —
Wioskę, drzewa i zagony
Śnieg ustroił w białe szaty,
Księżyc srebrem umalował
Ubożuchne, niskie chaty —
A w kościółku światła płoną...
Pleban lud swój błogosławi...
Który kornie Pana Niebios —
Pieśnią chwały wielbi — sławi.
I my stajem razem z ludem —
I my z serca „cześć“ składamy...
I kolędy z pastuszkami
Z łzą radości wraz śpiewamy...
I my prosim kornie — z cicha...
Wejrzyj! wejrzyj, Panie, z nieba!
Udziel szczęścia i pokoju
I tej zgody co nam trzeba.
Pobłogosław nasze chaty...
Nasze niwy ukochane —
Nasze wioski — nasze serca,
Dziś niedolą dość znękane —
Pobłogosław naszej pracy
I Ojczyźnie nieszczęśliwej,
A daj sercom skarb bogaty
Cnoty — cnoty tej prawdziwej,
Która zbliża nas do nieba,
Która daje siłę ducha...
Wtedy zniknie z ziemi bólu
Noc upadku — czarna — głucha!

Święta Bożego Narodzenia w Betlejem.

Gdziekolwiek dotarło światło wiary Chrystusowej, dzień wigilijny przynosi ze sobą nastrój, pietyzmu pełen. W tym dniu, jak nigdy, czujemy się chrześcianami i ze wzruszeniem oczekują serca ludzkie tajemniczej, a takim urokiem owianej chwili, przypominającej przyobleczenie Syna Bożego w ciało.



Wewnętrzny widok groty Narodzenia Chrystusa Pana w Betlejem. Kaplica podziemna w miejscu, gdzie była stajenka ze żłobkiem.

Łatwo zrozumieć, o ile potężniej wstrząsa wzruszeniem nasze poczucie religijne, jeśli znajdziemy się wówczas właśnie w miejscach świętych, które ongi były świadkami poczęcia się wielkich misteryów Chrystyanizmu.

Niewysłowione rozrzewnienie — opowiada jeden z podróżników — przejmuje całą istność do głębi, w miarę zbliżania się dnia wigilijnego. Cała chrześciańska ludność Jerozolimy i Betlejemu, zarówno miejscowa, jak przybysze, przez kilka dni ostatnich, zarzuca wszystko, co ziemskie, by oddać się całkowicie rozmyślaniom i praktykom religijnym.

Już w przeddzień wigilii niezliczone rzesze opuszczają Jerozolimę, dążąc do Betlejemu. Przeważna liczba udaje się pieszo. W dwie godziny jest się u celu. Biblia, legendy, reminiscencye historyczne — wszystko to skraca jeszcze bardziej drogę.

Oko nieustannie spotyka przedmioty opromienione blaskiem świętości. Oto zaraz u wstępu do Betlejemu dom sędziwego Symeona; — oto studnia Trzech Króli, z której czerpali wodę po raz ostatni w swej wyprawie do żłobka Chrystusowego. Przytem fantazya nasza, synów północy, łącząca przyjście Chrystusa nieodzownie z zimą mroźną i kopną, zdumiewa się, patrząc na pierwsze zwiastuny wiosny, wykwitające w tej porze z łąk betlejemskich.

Ze wzgórza, tuż przed miasteczkiem, rozpościera się wspaniały widok na całą okolicę. — W stronie północnej jeszcze majaczą zarysy Jeruzalemu — na południe zaś widać jak na dłoni Betlejem, wieńczące szczyt góry swymi domami.

Zanim tam dotrzemy, wstrzymuje nas jeszcze grób Racheli, małżonki Jakóba, która w drodze do Betlejem w tem miejscu miała powić Benjamina, przyczem sama padła ofiarą śmierci.

W dzień wigilijny gromadzą się tu liczne zastępy, by patrzeć na uroczysty pochód katolickiego patryarchy, który o godz. 1-ej w południe przybywa z wioski Bet-Dżalu w otoczeniu duchownych, żandarmów i kawasów. Na wzgórzu przed Betlejem witają go muzyką i przemowami wychowankowie domu sierót pod wezwaniem Przenajświętszej Rodziny.

Zresztą cała potężna rzesza wtacza się w ciasne uliczki Betlejemu, witana przez mieszkańców, którzy już przedtem wylegli na ulice i dachy domów, przyodziani odświętnie. Przed koszarami straż występuje pod broń i oddaje pochodowi honory wojskowe. Przed kościołem Maryi oczekuje przybyszów konwent O. O. Franciszkanów, poczem już wszyscy razem ruszają do groty Narodzin we wschodniej części miasteczka. Grotę ową nakrywa stara potężna świątynia, podzielona czterema rzędami kolumn na pięć naw — istny las kolumn, wzniesiony tu w r. 226 przez cesarzową Helenę.

Po „Te Deum“ odprawia duchowieństwo pontyfikalne nieszpory, celebrowane przez biskupa, a kończące się procesyą do miejsca świętego.

Tem kończy się uroczystość kościelna. Teraz pozostaje troska ziemska i dach nad głową, o kęs strawy. Wielu pątników wraca jeszcze w ciągu nocy do Jeruzalem, odważniejsi próbują szczęścia w klasztorach i gospodach



Ogólny widok Betleem w stanie obecnym.

Wypoczynek trwa niedługo. O godzinie 10 wieczorem odzywają się nagle dzwony wszystkich kościołów, zapowiadając pasterkę. Poprzedzają ją śpiewy chóralne, tak, iż msza właściwa rozpoczyna się dopiero o północy.

Po mszy znowu cały pochód rusza do groty urodzin, gdzie biskup odczytuje ewangelię o narodzeniu Chrystusa Pana. Przy słowach „Marya owinęła Boskie Dziecię w pieluchy,“ podają mu figurkę, wyobrażającą Dziecię Jezus, którą biskup owija w białą tkaninę i składa na miejscu, gdzie wedle podania znajdował się żłobek. Później, gdy już procesya opuści grotę, odczytują tu kapłani ciche msze, przy których funkcye ministrantów pełnią notable betlejemscy. O zaszczyt ten ubiegają się najpoważniejsi mieszkańcy. Owe msze przeciągają się nieraz aż po za południe pierwszego dnia świątecznego.

W noc wigilijną Betlejem snu nie zna. Ruch w miasteczku nie ustaje ani na chwilę. Pątnicy zwiedzają miejsca, upamiętnione dziejami Chrystusa. Tłumne pielgrzymki odbywają się na „pola pasterskie,“ nad któremi ongi zabrzmiała w noc tę pieśń anioła, na „łany Booza,“ kędy snuła Ruth, kłoski opadłe zbierając, do „Dawidowej pieleszy“ i t. d.

Wigilia betlejemska — kończy podróżnik — pozostawia niezatarte wspomnienie w duszy każdego, kto brał w niej udział.

Ks. Jan Siennicki.

W zmrok Wigilijny.

Przez biało-śnieżne pól zagony,
Nad wielkopolskich łąk równiną,
Duchy niebiańskie cicho płyną,
W zmrok wigilijny zamyślony...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Cisza przechodzi nad krainą,
Duchy niebiańskie we mgłach giną,
Lecąc na cztery świata strony...

I lecą z pieśnią ku wioszczynom,
Od strzechy lecą wciąż do strzechy,
I żadnej chaty nie ominą.

A jeno wnoszą tam pociechy...
I lecą z rajską w dal nowiną,
Że „Bóg się rodzi“ — maże grzechy...

J. Knorr.

W noc cudòw.

(Z ludowych wierzeń).

Bo też to wigilijna noc, ze swym przedziwnym urokiem, ze swojem weselem, weselem w najgorszej porze roku, srożących się burz i zawiei! — jest istotnie cudowną. Nie trzeba tylko być niedowiarkiem, a wszystko okaże się... prawdą, co jacyś tam uczeni panowie nazywają bajkami. Ho, ho, niechby ich tu kto przysłał w tę mroźną gwiezdną noc, aby ze swemi księgami pod pachą weszli do obory posłuchać mowy niemych stworzeń. Oj, uciekłby na samą myśl, że im te stworzenia boże śmieć w tym roku przepowiedzieć mogą. Albo... Ale co o tem dużo gadać... I u nas, tu we wsi, trafił się taki mędrzalek, co to z książki coś liznął i potem ze samym wójtem o prawdę się przezbywał. Oj, był, był, ale go niema. Niech mu tam Panieneczka Najświętsza światłość rozniecić każe... Jak jął mędrkować — tak domędrkował się. A nazywał się Wojtek. Kiedy ojciec święconą wodą pole kropił, to on w śmiech, a jak matka odstraszające dla czarownic ziele w ogrodzie siała — to on omal na nią się nie rzucił.

Aż raz, było to we wilią jak dziś, kolendujemy sobie, jak Bóg przykazał, ten i ów zdrzemnął się, jako że żołądek mu za wiele ociężał — a mój Wojtek w gromadzie innych chłopaków, ciągiem na nas starych z podełba wyziera i pyta: A podsłuchaliście ta, co krowy gadają? A co powiedział wam wasz stary byk, ten na jedno oko ślepy? A nie zapomnieliście wysypać owsa na strzechę? A konia dziś rano przyprowadziliście do chałupy? My starzy na to nic, a gromada niby to mądrą udająca za każdem jego słowem w śmiech.

— E — rzecze mu moja nieboszcz-



ka — nie baj, nie kpij, a weź konewkę i po wino do studni idź.

— No to dajcie konewkę.

Wziął i poszedł. Czekamy, czekamy. Jużby i na Pasterkę czas — jego niema. Wzięliśmy światło poświecić do studni, czy po wodzie nie pływa — gdzie tam! Ale że z takim chłystkiem nie trudno o nowe kpiny — więc i nie szukaliśmy więcej. Pewnikiem między krowy wlazł i śpi, albo na chałupy poszedł zaczepiać dziewki. Bo, wiecie, do dziewek nieboszczyk daruj mu tam Panie Boże, był okrutny ochotnik. Idziemy tedy we czterech na Pasterkę, niby ja, kum Grzech, sąsiad Bartek z młodszym bratem Szymkiem i stary Baran. Idziemy, aż tu Bartek bęc bez jakąś kłodę. Macamy palicami, a to... Panie Chryste — Wojtek całkiem nieżywy. Przynieśliśmy go do chałupy, natarli śniegiem, aż para szła i dotarlismy się. Miał oczy tak dziwne, tak wywrócone, że... ale wolę nie mówić. Nowy kożuch całkiem na nim był podarty, a włosy rozterchane jak kiść od maźnicy. Pytamy, gdzie, co jak się stało, a on:

— Oj, widziałem, cudowności okrutne, rzeczy straszliwe... Kiedym wyciągnął wodę ze studni, próbuję — a tu wierutne wino. Jak mi nie zaszumiało w głowie, jak nie pocznę pędzić, tak obaczyłem się gdzieś w dalekim lesie. Takie cicho... A mnie się tu coraz jaśniej przed oczami robi. Z pod ziemi wyrastają filary wysokie, kieby wieże jakie, a na nich tyle świec, co gwiazd na niebie. Już nie widać nic, jeno dwie ściany białe, jedna z prawej, a druga z lewej, a daleko, na końcu, niby ołtarz pozłocony, i jak słoneczko świecący. Patrzę w górę, a nieba nie widać jeno sklepienie jakieś ciemne, a na niem pełno jasnych janiołków, czy też jakichsi ptaków. Jak nie zaczną śpiewać — Chryste Boże! A, a... naraz bam, bam, bam, bam, z pod ziemi zaczęło jęczeć. Za chwilę wyłazi dzwon taki wielki jak nasza stodoła. A serce u niego, to jakby cztery chłopy do kupy związał. Bam, bam, bam, bam, coraz głośniej i głośniej. A huk to taki na wskroś mnie szedł, żem się trząsł jak sitko we wialni. Jak zaczęło to dzwonić i dzwonić, tak ze wszystkich stron zbiegały się całe chmary przeróżnych wilków, niedźwiedzi, dzików, lisów i Bóg wie jakich bestyi. Wszystko niby parami. Świece ma każde w zębach, a mimo to śpiewa jakby na pogrzebie jakim. I jak te wszystkie bestye sobie hen naprzód poszły, tak zaczęły iść drzewa, a zawsze parami. Dąb gruby jak beczka, chwycił chudą topolę pod pachę, grab se brzozę bieluchną do towarzystwa wziął, buk łysy i stary z jodłą jakoby do tańca gotów. Choć mię to wszystko dziwiło — omal się nie roześmiałem jak taki berbeć jarząb ogromną lipę wiódł pod pachę, albo taki jałowiec co to od ziemi nie odrósł jeszcze z rudą olszą paradował. Już em chciał zapytać, czy to jaki ślub pański, czy co takiego, ale mi mowę zamknęło. A to wszystko idzie, idzie i jakby przed ołtarzem się ustawia parami i wszystko śpiewa tak mocno, aż mi w uszach się coś urwało, a i w oczach od wielkiej jasności zaczęło coś wiercić . Naraz... wszystkie te słupy i te filary zaczynają się chwiać. Uciekam, uciekam, ale jakoś i wydostać się trudno tak daleko do końca. Zaplątałem się... bęc...

No i wiecie po tych słowach już ani rusz. Jak zaciął zęby — już mu ich nie odcięli. Umarł nam na rękach, a my wszyscy struchleli i do rana nikt słowa przemówić nie mógł.

Bo to we wiliją to tak. Jest siła boska i wola, której sprzeciwiać się nie trza, o nie trza!...

Kazimierz Króliński.

Wieczór Wigilijny.

W ten wieczór jasny, wieczór Boży,
Pod blask gasnącej zorzy,
Jak niegdyś zeszła w Betleemie —
Miłość schodzi na ziemię.

Wśród śniegu błądzi i zawiei
Świecąc gwiazdą nadziei
I na dalekich krańcach świata
Ludzi ze sobą brata —

Samotne serce rozwesela
Uściskiem przyjaciela,
Drogami smutków ludzkich kroczy
I z łez ociera oczy —

Dotknięcciem słodkiej ręki swojej
Cierpienie i ból koi;
W zmęczone walką, słabe duchy
Sączy balsam otuchy — —

Przy wigilijnym, białym stole
Zasiada w naszem kole
I taką samą jest pociechą
W pałacu, jak pod strzechą.

A niewidzialna jej potęga,
Jednoczy nas i sprzęga,
Wskazując w słońca aureoli
Nadzieję szczęsnej doli...

Z. D.

Boże drzewko — na cmentarzu.

Ilekroć po ulicach miasta poczną się uwijać chłopaki z choinkami, a za szybami wystaw cukiernianych zajaśnieją światełka na drzewku, staje mi przed oczyma chwila jedna z owej przedświątecznej doby przed laty, chwila rzewna i niezapomniana.

Było to w samą wilję, zim już temu sporo. Mroźnym rankiem wybrałem się do swoich nieboszczyków kocha-



nych — na ten osobliwy opłatek. Rok rocznie swoje tam kieruję kroki, by tym mogiłkom drogim, przez inne dni miesiąca opuszczonym i zaniedbanym, powiedzieć świąteczne „Bóg się rodzi" i wydaje mi się, żebym przewinienia się dopuścił niemałego, gdybym w ten dzień — szeptu nadmogilnych brzóz nie posłuchał, ani niemego pogwaru skamieniałych nagrobków. Wraca wówczas człowiecza myśl w te chwile, gdy społem z tymi, co dziś w wiekuiste sny ujęci u sianem zasłanych zasiadało się stołów i opłatkiem łamało na szczęście, na zdrowie, na setnych lat życzenia. A jednak jakże często życzenia te pozostawały niezniszczalnemi, setne lata przechodziły w legendę, a zdrowie i szczęście płakały na jednym znowu, nowym pogrzebie...

Kilkadziesiąt zaledwie kroków dzieliło mnie od bramy cmentarnej, gdy koło uszu mi zadźwięczały dzwonki u sanek. Przemknęły szybko. Nie mogłem dojrzeć twarzy jadącego, spostrzegłem tylko, że wiózł ze sobą bogato ubrane „Boże drzewko." Jeden cel widocznie nas wiódł tu na cmentarz: wigilja u mogiłek. Jakiś usłużny dziadek zdjął mu ze sanek choinkę i obaj podążyli w górną część cmentarza — ja niedaleko za nimi, bo również w tamtej stronie były moje groby.

Los zdarzył, że i tu zeszliśmy się w bliskiem sąsiedztwie mogił. Ukląkłem u swoich i w niemej modlitwie duszy świąteczne im słałem pozdrowienia, nieboszczykom ukochanym. Długą widocznie była ta cicha rozmowa żyjącego z umarłymi, bo gdym powstał i oglądnął się, dziadka cmentarnego już nie było, ów nieznajomy pan stał pochylony i jakby nie z tego świata, a z grobu strzelało w górę przepiękne, lśniące „Boże drzewko" — wszystkie świeczki płonęły, wiatr łagodny igrał z ozdobami jego.

Tak jakoś dziwnie było z tym przedmiotem radości dziecięcej tu, na tem ponurem, śniegami zasłanem cmentarzysku. Jakby jakieś blaski świetlaną płynęły smugą od tego drzewka na ciszę grobów i martwotę ich wnętrzy. Ze świata żywych przyszedł z nim głos, wysłany przez bardzo pewnie kochającą duszę, kiedy o tej cmentarnej gwiazdce nie zapomniała.

A człowiek, co te uczucia głębokie nosił w piersi, stał wciąż cichy i niemy, wpatrzony w grób, jakby skamieniały. Zdjęty prawdziwem współczuciem, podszedłem doń milcząco, alem ciszy cmentarza nie przerwał, szanując jego boleść. Zdawał się mnie nie



widzieć. Śmielej podniosłem głowę i na tej pięknej, męskiej twarzy dziwne dostrzegłem skojarzenie dwu najskrajniejszych uczuć bólu i radości. Przez mrozem cierpień ścięte usta żadne się słowo wesela nie przedarło, ale szły jakieś jasne promienie z oczu jego w to jarzące się drzewko i biły drobiną ludzkiego szczęścia w grób.

Poszły i moje oczy tymi śladami i takie wyczytały na nagrobku słowa:

„W nieznane kraje, w piątej wiosence
Odeszłaś od nas, dziecino droga,
I śpisz spokojnie w twardej trumience,
Nie znasz, co smutki, boleść i trwoga...
Szczęśliwą jesteś tam z aniołkami,
Więc się do Bozi pomódl za nami!"

Pod tem przy nazwisku rodowem, dziecięce imię „Stefuś..." i data śmierci: 24. XII. 18... kilka zaś rządków niżej dzień drugiego niebawem zgonu w tej samej rodzinie, bo w parę miesięcy po nowym roku, i imię kobiece: „Wanda."

Poczynałem dorozumiewać się związku tych imion i dat ze stojącym obok mnie człowiekiem, gdy w tem on jakby ocknął się, usta otworzył, jakby chciał coś powiedzieć, zawahał się na chwilę, ale widocznie musiało mi dobrze patrzeć z oczu i litościwie i współczująco z nim, skoro w te do mnie nieznajomego odezwał się słowa:

— Jakby on się cieszył, jakby się cieszył, gdyby dożył był tej dzisiejszej gwiazdki... Miałby już lat ośmnaście... możeby i pogardził tem „Bożem drzewkiem," com mu tu przywiózł... Ale to ostatnia jego wola...

Nie zrozumiałem jego słów i zdziwiony pytająco spojrzałem.

— Pan go pewnie nie widział ani razu, zapewne malec to był jeszcze. Zima go nam zabrała, panie. Zaziębił się tuż przed Bożem Narodzeniem i długo nie pociągnął. A taką mieliśmy nadzieję do ostatka!... jeszczem mu drzewko ustroił i w trzecim pokoju chował, by z pierwszą gwiazdką wnieść i przy łóżeczku mu je postawić. A on w gorączce dzień cały, przedtem majaczył, że jest tym aniołkiem, zawieszonym na szczycie choinki z napisem na przepasce „Chwała na wysokości Bogu..." Rwał się i chciał jej przez całą noc, więc przynieśliśmy mu ją nad ranem „Gwiazdka" nad tem „Bożem drzewkiem" zabłysła wraz z brzaskiem dnia wigilijnego i — zgasła niebawem wraz z jego życiem... „Ojczulku! daj mi to drzewko, ja wezmę je z sobą" mówił i takie było jego ciche w radości u „Bożego drzewka" śmiertelne zaśnięcie. Zostawiliśmy tę choinkę, przybraną na Gwiazdkę, u jego trumienki i na świeżej zasadzili mogiłce. Wyrosła obok niej druga niezadługo mogiła, za jedynakiem poszła żona i ja sam zostałem. Co roku tu chodzę z „Bożem drzewkiem" Stefusiowi na Gwiazdkę...

Zamilkł — a ja słów nie znalazłem na ukojenie jego bólu. Milcząco dłoń jego uścisnąłem i pozostawiłem go samego z jego wspomnieniami i nieszczęściem. Odszedłem. A gdym na skręcie ścieżki oglądnął się, spłynęło się w oddali wszystko to światło od choinkowych świeczek i blaskiem swoim otuliło w jedno, miłości pełne kolisko, ten niezapomniany, cichy grób, bolejącego ojca i radość siejące w dziecięcym światku „Boże drzewko." Na wielkiej, pagórkowej od grobów, śnieżystej przestrzeni pustynia była głucha, ztamtąd od choinki lśniącej głos żywych także nie szedł żaden, człowiek przetopił się napozór w to próchno trumien i zgniliznę grobów, choć takie w nim przepiękne i rozczulające biło życie wspomnień i rozpamiętywań utraconego szczęścia...

* * *

Dziś mi takie całe lasy choinek świątecznych stanęły na drodze i rzuciły cień na nekrologią w gazecie. Zajrzałem, kto też pożegnał ten świat. To samo nazwisko, co ongiś na grobowcu, wyczytałem dziś w żałobnych obwódkach. Wiek się zgadzał z mojemi obliczeniami. Więc i on się tej Gwiazdki nie dalekiej już, niedoczekał. Biedny Stefuś nie będzie miał tego roku i już nigdy pono „Bożego drzewka" na swym grobie...

Wł. W.



W. Eilers. Przy choince.

Kolenda.

Na cichych polach śnieg połyska...
Złoto-błękitna noc grudniowa...
Chyli się szopa nędzna, niska —
Nad szopą tęcza kolorowa.

Wiodła tu gwiazda Trzechkrólowa
Tych, co z dziejowych zeszli krwawic:
Białych ułanów z pod Grochowa
I kosynierów z pod Racławic.

Wiodła tu gwiazda tych, co wierni
Szli z rozpaczliwem echem pieśni:
Jeńców z Sybiru, dzieci z Wrześni,
Niosące krwawy wieniec z cierni
I od łez złote, skargi słowo
Przed Chrystusowy żłób... w noc ową...

Jan Pietrzycki.

Śnieg swatem.

(Nowelka).

— Podoba ci się więc Cesiu?

— Prześliczny!

— Zręczny i wytworny, nieprawda?

— O tak! Zachwycający!

— I mówisz to na seryo?

— Naturalnie! Jaki twój ojciec dobry, że ci na gwiazdkę dał taki piękny prezent....

— Ach! O kim ty myślisz?

— O kim? Raczej o czem, bo chodzi przecież o twój nowy pierścionek brylantowy!

— Ale gdzież tam! Pierścionek! Jest mi zresztą za obszerny, patrz spada mi ciągle z palca!

I piękna Halina wyciągnęła rączkę.

— Tak, rzeczywiście, włóż go na prawą rękę, radziła przyjaciółka jej Cesia. — Uważaj, abyś go nie zgubiła, mianowicie myjąc się, lub ściągając rękawiczkę. Ale o kim ty poprzednio mówiłaś!

— O panu Wiktorze!

— Oj, oj! o panu Wiktorze! Czemu się tak rumienisz? Cóż to? Czy jesteście potajemnie zaręczeni?

— Niestety, nie! I Bóg wie, czy to kiedykolwiek nastąpi! Ale kochamy się, to jest ja kocham go bardzo, z całego serca i zdaje mi się, że i on — że i ja nie jestem mu obojętną...

— Więc ojciec twój nie pozwala?

— O, ojciec cieszyłby się nadzwyczaj ale...

— No i cóż? Jesteście oboje majętni, kochacie się, więc na co u licha, czekacie jeszcze?

— Wiesz, Cesiu, pan Wiktor wszystkiemu sam winien! Dziwny to człowiek. Nie oświadczył się, bo — bo — obawia się, aby nie dostał kosza!

— Ach, więc wcale się jeszcze nie oświadczył? To dobre!

— On taki dumny, trochę też zarozumiały, woli zatem milczeć, niż narazić się na odmowę. A ja przecież nie mogę mu się rzucić na szyję i prosić, aby się ze mną ożenił!

— Nie, ale jesteś może za mało uprzejmą dla niego. Ty umiesz być niedostępną, więc też nie dziw, że biedny Wiktor lęka się kosza!

— Nie wiem doprawdy, jaką mam być — odrzekła Halina hardo — i niech będzie co chce, ale postępowania mego zmienić nie mogę. Z tem wszystkiem jestem bardzo nieszczęśliwą!

I łzy zabłysły w pięknych oczach dziewczęcia. Wkrótce jednak odzy-

skała zwykłą swobodę i wesołość i usiadłszy z Cesią przy oknie, oglądała z nią pilnie nowe żurnale.

Pan Wiktor tymczasem siedział w winiarni i zajadał z apetytem drugie śniadanie.

— Nie jedz pan tak wiele — zauważył jeden z jego znajomych — bo utyjesz zanadto!

— Nie ma obawy — odrzekł pan Wiktor.

— No no, nie chwal się — zawołał ktoś inny. — Słyszałem to samo niedawno z ust bardzo pięknej panny.

— Jak to? Co?

— Otóż panna Halina twierdziła, że szkoda twej wysmukłej postaci, bo zaczynasz nabierać tuszy!

Wiktor odsunął talerz, a znajomi głośnym wybuchnęli śmiechem. I teraz poznał dopiero, że padł ofiarą żartu. A ponieważ stracił nagle cały apetyt, przeto nie czekając dłużej, zapłacił i wyszedł. Zimno było dziś na dworze, śnieg leżał na ulicach i skrzypiał pod butami, to też każdy biegł prędko, aby jak najprędzej schronić się do ciepłego pokoju. Pan Wiktor jednak szedł wolno na ulicę Kwiatową na której mieszkał pan B., ojciec Haliny.

— Może ją chociaż przez okno zobaczę — myślał. — O gdybym wiedział, że ona mnie kocha! Ale oświadczyć się i dostać kosza? Nigdy! I znosić potem złośliwe uwagi znajomych? Za nic w świecie.

Halina tymczasem i Cesia siedziały ciągle jeszcze przy oknie, patrząc już to na żurnale, już to na przechodzących.

— Patrz — zawołała nagle Halina — tam idzie Wiktor.

— Tak, to on!

— Wiesz co, rzucę na niego śniegiem!

— Ależ Halko!

— Dalej, dalej! Na ulicy nie wiele ludzi. Otwórz prędko okno, ale pochyl się, aby cię nie mógł dojrzeć...

Mówiąc to pobiegła szybko do przyległego pokoju, zebrała z okna leżący śnieg i utworzyła zeń dosyć dużą kulę, potem wróciła do salonu i ukryła się za firanką.

— Nie ma nikogo — myślał Wiktor, rzucając ukradkowe spojrzenie w górę. Szedł umyślnie jeszcze wolniej, mając nadzieję, że może ujrzy jednak swój ideał, ale daremnie.

Nagle bim! Wielka kula śniegu uderzyła go prosto w twarz. Rozgniewany spojrzał na wszystkie okna dokoła, ale nigdzie nie znalazł żadnego śladu niegodziwego napadu.

— Głupi żart — szepnął oburzony, ocierając chustką twarz. Ale któż opisze jego zdumienie, gdy na chustce spostrzegł ślady krwi? Równocześnie uczuł lekki ból na lewym policzku.

— Co to jest? — rzekł głośno. — Śnieg przecież nie rani — musiał tam więc być kamień lub coś podobnego!

I schyliwszy się, podniósł resztki kuli i obejrzał je dokładnie. I teraz zabłysło coś w śniegu — mały brylantowy pierścionek, z napisem wewnątrz: „mojej córce Halinie!“

Gorący rumieniec pokrył twarz uszczęśliwionego Wiktora. Znaleziony pierścionek wsunął sobie na palec i poszedł wprost do mieszkania pana B.

— Panno Halino — rzekł, wchodząc do salonu — zdaje mi się, że zgubiłaś pani pierścionek.

Dyskretna Cesia wyszła do przyległego pokoju, nie można jednak ręczyć za to, czy nie podsłuchiwała pod drzwiami.

Halina, drżąca i zmieszana milczała. Widziała przez okno, co się stało i czuła, że chwila stanowcza nadeszła.

— Mam go pani oddać? — mówił Wiktor dalej. — Bo ja — pragnąłbym zatrzymać go sobie — a zarazem i rękę, która mi go rzuciła...

Co się dalej działo, o tem jedna tylko Cesia wiedziała, dosyć, że dwa dni później obchodzono uroczyście zaręczyny Wiktora i Haliny.

Gwiazdka nadziei.

Pośród burzy i zamieci
Wśród życia zawiei
Jedna gwiazda wciąż nam świeci,
Gwiazdeczka nadziei.

Ona błyszczy, gdy się razem
Opłatkiem dzielimy
I szczęśliwszej się obrazem
Przyszłości cieszymy.

Przez nią chory snuje plany
O przyszłej kolędzie,
Przez nią człowiek skłopotany
Mówi: lepiej będzie.

Ona ciągle nam wskazuje,
Że smutek przeminie,
Że nas szczęście oczekuje
W niebieskiej krainie.

Ona zwiedza każdą chatę
I pałac z kolei.
O! dziękujmy Bogu za tę
Gwiazdeczkę nadziei!

Przygody Sherlocka Holmesa poznańskiego.

(Humoreska nie angielska.)

Pan Straszkiewicz niedarmo nosił swoje charakterystyczne nazwisko. Lękał się poczciwina własnego cienia, w strachu wiecznym chodził zawsze, żeby gdzieś komuś nie uchybić, mimowoli nie zaszkodzić — a już ognie w niego uderzały na myśl, że mógłby kiedykolwiek wpaść w jakie podejrzenie!

Wybiła właśnie godzina pierwsza. Pan Straszkiewicz pędził z biura do domu. W pół roku po ślubie nie daje się żoneczce czekać na siebie z obiadem, który w dodatku sama gotowała. Gnał tedy do domu na Berlińską, a chcąc sobie drogę skrócić, przecinał środkiem plac Wilhelmowski.

Wtem — potknął się o coś na ziemi. Patrzy — czarny, duży pugilares do banknotów. Podniósł go szybko z ziemi, rozejrzał się trwożliwie do koła, czy niema w bliskości kogo, coby to był zauważył — i otworzył, chcąc zobaczyć zawartość.

Nim zdążył przeliczyć banknoty, których sporą ilość uczuwał pod palcami — usłyszał za sobą szelest. Spostrzegł jakiegoś jegomości o przenikliwem spojrzeniu, jakby go chciał śledzić, podpatrzyć.

Cichy wykrzyk przestrachu wydobył się z ust Straszkiewicza... Szybko schował pugilares do wierzchniej kieszeni palta i pognał pędem ku domowi.

Czuł wyraźnie, że człowiek o świdrującem spojrzeniu nadeptuje mu na pięty...

Zziajany, przelęknięty wpadł do pokoju.

— Władziuniu! — jęknął do żony, chwytając powietrze — zaczekaj na mnie z rosołem parę minut... Ja muszę.. do policyi skoczyć... Mam tam coś złożyć.

Przestraszona spojrzała na niego młoda kobieta.

— Ignasiu... co tobie jest? Na miłość boską, tłumacz się jaśniej!

— Ale nic mi nie jest... nic zupełnie... tylko muszę natychmiast pobiedz na policyę.

— Matko Boska!... ja cię nie puszczę samego!... Takiś roztargniony, zaaferowany... Pójdę z tobą razem!

— Jak chcesz, droga Władeczko, jak chcesz... Tylko spiesz się, bo nie mam czasu!

— Za pięć minut będę gotowa.

Wbrew zwykłym guzdraniom za chwilę była ubrana; wybiegli.

Przed bramą spacerował facet o przenikającym wzroku!

— Jezus Marya! — mruknął Straszkiewicz — jest znowu!

I dodał półgłosem szybko do żony:

— Na Boga... Władziu, nie oglądaj się!... bo ściągniesz na siebie podejrzenie! na! weź prędko ten pugilares i po-

— No przecież nie połowę! — odburknął Straszkiewicz i usiadł zamyślony.

W pięć minut zgrabny chłopak był gotów. Straszkiewicz aż wrzasnął, spojrzawszy w lustro! Nie spostrzegł się biedaczysko w swojem roztargnieniu, że fryzyer mu ochlasnął i wąsy!...

dziej u nas pierwszy raz... nie wiedziałem...

— No przepadło! Masz tu... bądź zdrów!

— Całuję rączki! upadam do nóżek!

Straszkiewicz wypadł na ulicę. Człowiek z przenikliwemi oczyma stał



N. G. Kinsley. **ZIMA.**

trzymaj go, żebym nie zgubił, bo ja tu na pięć minut wpadnę do tego golarza. Nie wypada mi takim zarośniętym iść do komisarza policyi... Zawsze to starszy.

Dał żonie pugilares i wpadł do fryzyera.

— Proszę mnie raz dwa ogolić! — zawołał.

— Czy całkiem, proszę pana? — spytał chłopak.

— Trzysta dyablów! Cóżeś ty zrobił?

— Co, proszę pana dobrodzieja?

— Po cóż ty mi wąsy zgoliłeś?

— A no... pytałem pana dobrodzieja, czy całkiem ogolić, a pan dobrodziej...

— Idźże warjacie! któż przypuszczał coś podobnego! Bernardyna ze mnie zrobił, jak Pana Boga uwielbiam!

— Przepraszam... ale pan dobro-

przed sklepem fryzyera... Zona — zginęła!

Trwożliwie obejrzał się ogolony małżonek, czy jej gdzie nie dojrzy... Daremnie! Puścił się tedy naprzód — ale jakaś ciężka ręka chwyciła go za ramię!

— Halt! Ani kroku dalej! w imieniu prawa aresztuję pana!

Straszkiewicz odwrócił głowę — to ta sama figura z oczami!

— Czego pan chce odemnie? — za-

wołał. — Proszę mnie puścić, ja muszę żony szukać!

— Znajdzie pan panią dobrodzikę na policyi — odparł tamten z ironiczną grzecznością — proszę no tylko ze mną!

Nieszczęśliwy mąż wydał okrzyk przerażenia! Spostrzegł gromadzących się przechodniów — i jak szalony rzucił się do ucieczki!

— Trzymajcie! trzymajcie! — wrzasnął ajent policyjny.

— Trzymać! trzymać złodzieja! — zawyła zebrana zgraja i zaczęły się wściekłe gonitwy... Straszkiewiczowi zleciał z głowy nowiutki kapelusz — ale mimo, że się nawet nie obejrzał, przyłapali go na ulicy Wiktoryi. Trzech rzuciło się na niego i w mgnieniu oka rozdarli mu palto przez pół!...

Migiem siedział w dorożce — za trzy minuty stał w policyi przed komisarzem.

— Jak się pan nazywa?

— Straszkiewicz.

— Aha... to coś pokrewnego z tą imością, którą tu przed chwilą zamknąłem... Co to tam było z tym pugilaresem?

— Znalazłem go, panie komisarzu.

— Oczywiście... W obcej kieszeni! Znamy się na takich znalazcach... Cóż dalej! Oddałeś go pan tej kobiecie, żeby go przy panu nie znaleziono! Czy tak?

— Ależ panie komisarzu, ja go właśnie miałem zdeponować w policyi... tylko... musiałem się pierwej ogolić... żeby...

— Żeby pana nie poznano!... Stara sztuczka złodziejska!... Lepiej przyznać się od razu... lepiej!

— Ale do czego, panie komisarzu?

Wtem — drzwi się otworzyły; wszedł nadkomisarz, dobry znajomy Straszkiewicza, z którym od kilku lat grywał w szachy w Domu Przemysłowym.

— Oho!... pan Straszkiewicz tu?... Co się stało jak pan wyglądasz?

Komisarz zakłopotany nieco rzucił mimo woli pytanie:

— Pan nadkomisarz zna tego pana?

— Ależ doskonale! To chyba jakieś nieporozumienie... Co to jest? o co tu chodzi?

— Czy ja wiem?... Chyba, że ajent palnął jakieś głupstwo!?

Straszkiewicz opowiedział nadkomisarzowi wszystko co wiedział od A do Z — a ten w tej chwili kazał przyprowadzić niewinnie uwięzioną połowicę. Runęło sobie małżeństwo w ramiona wybuchnąwszy łzami żalu i radości.

Ajent dostał nosa potężnego... Ale Straszkiewicz przypomniał sobie o dorożce.

— W każdym razie trzeba go zapłacić, bo i tak musi nas odwieść do domu.

Sięgnął do kamizelki.

— Oho! tu już nie mam drobnych... Trzeba zmienić dziesiątkę.

Sięgnął do palta.

— Jezus Marya! Kieszeń się rozpruła, nie wiem kiedy... i zgubiłem pugilares!

— Nie, mężulku — przerwała nieśmiało pani Straszkiewiczowa — jest u mnie... Dałeś mi go do potrzymania przed sklepem fryzyera.

— A!... dobrze, żeś mi przypomniała... Trzeba go oddać panu komisarzowi, bo to ten, co go znalazłem na placu Wilhelmowskim.

— Ależ Ignasiu... to przecież twój pugilares... twój własny!

— Co ty gadasz głupstwa?! znalazłem go na placu!

— Zapewne dlatego, że przez rozprutą kieszeń wyleciał na ziemię... Zresztą — przypatrz się!

Straszkiewicz porwał pugilares... otworzył...

— Macież teraz! Są nawet moje wizytówki i recepisy! A czegoż ja go chciałem oddawać na policyę i tyle szkody miałem przez to... wstydu i nieszczęścia!?

Uśmiali się komisarze.

— No — ale teraz jedźmy do domu... Rosół będzie całkiem zimny!...

Młode małżeństwo — zagrzali go sobie na nowo!... Ot!!! a poznański Sherlock skompromitował się gruntownie!... Ba! Poznań to nie Londyn!

* * *

Choinka... kolędowy wtór...
Wspomnieniem goni dusza!
Myślą odwieczny powiał bór,
Prastara leśna głusza...
Za borem chaty, biały dwór,
Ludziska przed podsieniem...
Choinka... kolędowy wtór...
Wspomnienie za wspomnieniem.

Choinka... kolędowy wtór...
Za echem leci echo!
Grudniowa nocka gwiazdek sznur,
Rozpala ponad strzechą...
Śpiewają chaty, biały dwór...,
Ponowa polem prószy...
Choinka... kolędowy wtór...
Kościołek w leśnej głuszy.

Choinka... kolędowy wtór...
Okiścią szemrzą drzewa,
W kościelnych progach żywy sznur,
Chorałem pieśń rozlewa...
Wtóruje ludziom stary bór,
Zieloną pieśń rozdyma...
Choinka... kolędowy wtór...
Tłum... gwiazdy... pieśni... zima...

Przez to błoto!

(*Zabawne wydarzenie*).

No i nie ożeniłem się!... A wiecie państwo dlaczego? Bo było błoto.

Cóż do wszystkch pierogów? A jakże to się ma jedno do drugiego?

O... bardzo! Niedarmo powiadają: „Idzie tylko o to, żeby nie było błoto!..

Mniej to może gramatycznie — ale słusznie...

Przykry wypadek, który tu państwu w krótkości opowiem, stał się temu lat sześć, jedenastego listopada, jak raz w imieniny pana Marcina Zadrapalskiego, kupca, obywatela na trzech kamienicach, a zarazem ojca rodziciela mego ideału, panny Pupci.

Ostatniego karnawału poznaliśmy się w Bazarze przed kadrylem; sympatya obopólna wystrzeliła jakoś między piątą, a szóstą figurą, spotęgowała się w bufecie przy lodach i koniaku, a już zacieśniły się te węzły do reszty podczas straszliwej ciasnoty w galopadzie, w której na wykopyconą jakąś niezgrabną parę, wysypało się następnych cztery jak ziemniaki z korca!...

My z panną Pulcherję znaleźliśmy się między drugą a trzecią „szychtą“ — więc było trochę przyciasno... ale przyznam się, że bardzo przyjemnie, bo pulchna panienka nie przedstawiała bynajmniej dla dansera niebezpieczeństwa przebicia się na łokciu lub kolanku, jak to u niektórych, suchych ideałów...

Domyślają się tedy państwo, że powyższy wypadek nie był owym przykrym, jeszcze powyżej wspomnianym wypadkiem... I bardzo słusznie — bo ten dopiero nadejdzie w owe pamiętne imieniny papy.

Dla lepszego zrozumienia rzeczy dodać wypada, że choć wprawdzie bywałem przez lato u państwa Zadrapalskich czasami na herbacie, nie byłem przecież dotąd wcale oświadczonym, a tem mniej przyjętym narzeczonym; całe moje nadzieje na szczęście małżeńskie i jedną bodaj kamienicę gruntowałem na przyrzeczeniu Pupci, danej mi podczas pewnej odprowadzki z koncertu „Lutni“ do domu...

Czy mnie kochała? Zapewne... o tyle, ile kochać są w stanie takie tłu-

ściuchne flegmatyczki: bez ekstazy, spokojnie...

Miałem, jak to mówią, dobrze w gębie, prawiłem komplementy, pisałem do albumu akrostychy... więc jako „poeta,“ a przytem (według przysłowia) ładniejszy cokolwiek od dyabła — przedstawiałem dla siedmnastoletniego, choć sześćdziesięciokilowego podlotka wcale dobry materyał na męża.

Ojciec — nie wiem — wiedział czy nie wiedział o naszym flircie, ale nie robił nam, jak powiadają u nas żadnej obstrukcyi...

Stanowisko moje jako polskiego dziennikarza dawało mi utrzymanie wprawdzie mniej niż skromne, ale za to więcej niż niepewne... co napawało nas zwątpieniem co do ewentua... przyzwolenia tatki w razie oświadczyn...

Parę razy chciałem mimo to ryzykować, ale Pupcia odradziła.

— Wstrzymajmy się do listopada — mówiła — aż do imienin papy. Jest to już u nas tradycyą w domu, że z prośbami o sprawy ważniejsze występujemy podczas kolacyi imieninowej, bo papa w różowym będąc humorze „z zasady“ w ten dzień uroczysty niczego nie odmawia...

Zgodziłem się więc na czekanie.

— Wola twoja, aniołku, jest dla mnie rozkazem! — zaryzykowałem przechodzony frazes i na tem stanęło, że w dniu jedenastego listopada będę wieczorem na kolacyi, że — zresztą — panna Pulcherja da mi znać bilecikiem przez służącę Paranię.

. . . .

Chociaż, co prawda i ja nie byłem tak aż do szaleństwa zakochany, ale przyznam się, że biło mi trochę serce, gdy o dziesiątej rano 11-go listopada usłyszałem pukanie do drzwi, a kwadratowa Rusinka Paraszka z biletem w ręku wsunęła się do mego pokoiku!...

— Rany boskie! jakże ty wyglądasz dziewczyno? — wykrzyknąłem ujrzawszy ją całą jak słup błota wyglądającą.

— Joj... ta ja proszu pana wypadła!

— Taja upadła? jakaż to taja?

— Joj... taże ja!

— Aha... to niby ty!?

— Nu peuni! ta tam dziśka taki błotu co strach... taj ślisku, ażym wupadła... ta my toj łyst wyleciał z reńki u w błoto!

— Masz list od panny?

— A ja!

— Dawaj!

— Ubwalał si duże, proszu pana; no ja go fartuchim wytarła.

Porwałem bilet. Nieostrożna Pupka dała go słudze bez koperty; ledwie mogłem z pomiędzy smug błota „fartuchim“ wytartego odcyfrować:

„Kochany pa. . . .szku . . . . nie wiem czy pan pam. . . . . więc bardzo proszę mo. . . . . nie przychodź pan dziś do nas wieczorem . . . . . .ąca Pulch. . . .“

Co u licha? — pomyślałem... Nie przychodzić? Ha! coś się tam musiało stać bardzo ważnego. Dowiem się jutro o czwartej, gdy Pupka będzie iść na lekcyę muzyki.

Odprawiłem Paraszkę i poszedłem do redakcyi.

Dzień miałem smutny, niespokojny — nazajutrz pół godziny przed czwartą stałem czekając na mą Pupkę.

Nadeszła — zła i nadąsana. Ukłoniłem się.

— Co pani jest, panno Pulcheryo?

— Jakto co mi jest? Wczoraj podczas kolacyi pana nie było, doktor Pigulski oświadczył się ojcu o moją rękę, no i oczywiście jak to w dzień imienin, ojciec mu nie odmówił.

— Matko moja! — krzyknąłem — a przecież mi pani wyraźnie napisała, żebym nie przychodził!...

— Ja? nieprawda!

— O! przepraszam! oto jest bilet pani!

— To? taki zamazany?

— Paraszka opuściła go w błoto.

— Pokaż pan tu!

Oglądnęła... pokiwała głową.

— Ha... przeznaczenie! szepnęła. — Czy pan nie zmiarkował, że tu tyle słów i liter brakuje, tych wymazanych z błotem?

— Jakto?

— Proszę uzupełnić braki. No!?

— Czyż ja wiem?

— Oj wy literaci!... Patrz pan: *„Kochany panie Franciszku!*

— Dobrze... a dalej?

— *„W istocie nie wiem czy pan pamięta? Ja więc sama bardzo proszę moje Kochanie, przychodź pan dziś wieczorem“*. Resztę pan już odgadł zapewne... Co?

— Boże mój, Boże!... tak! tak jest! Na *„je kocha“* bryznęło błoto. Paraszka starła i zostało *„nie przychodź!...“* Cóż teraz będzie?

— Ha! nic!... Będziesz pan drużbą!...

Uśmiechnęła się, ściskając mi dłoń — zostałem na ulicy jak otumaniony.

. . . .

Cóż państwu więcej powiem? W karnawał najbliższy drużbowałem — a dziś po latach sześciu szczęśliwy doktor jest już ojcem siedmiorga dzieci!

— Czyż to możliwe?... zapytacie.

Ba! pan Bóg błogosławił...

Trzy razy były bliźniaczki, czwarty raz syn!... Proszę sobie to błogosławieństwo wyobrazić u biednego literata!

Poczciwe błoto! nigdy już na nie nie narzekam.

Aka.

Gwiazdka.

Gwiazdka zabłysła na lazurze —
Przy wigilijnym siądźmy stole,
Łamać opłatek w krewnych kole.
Niech z serca nam ustąpią bole.

A wejdzie radość i nadzieje —
Niechaj życiowe zmilkną burze,
Dziś „Bóg się rodzi — moc truchleje!“

Zabłysła gwiazdka na lazurze,
Oczekiwana zdawna, długo
A za nią — jedna po za drugą
Nowe się zapalają w górze...

Do wigilijnej więc wieczerzy
Zasiądźmy dzisiaj wszyscy społem,
Niech się wesele wśród nas szerzy
Więc serca w górę! Gwiazdce czołem!

Tadeusz Kończyc.

Siewców nam trzeba.

Siewców nam trzeba, siewców nam trzeba,
Pełnych miłości, pełnych mądrości,
Którzyby dali zdrowego chleba,
Jak w dniu dzisiejszym tak i w przyszłości.

Siewców nam trzeba, wciąż z sercem jasnem,
Którzyby posiew rzucali zdrowy
Na polu bratniem, na polu własnem,
Posiew dla serca, posiew duchowy!

Siewców nam trzeba, siewców nam trzeba,
Na drogą ziemię, na naszą czarną,
By posiew kłosem strzelił do nieba,
By każde weszło na ziemi ziarno!

Siewców nam trzeba z słonka świtaniem,
Coby ojczyzny kochali dolę,
Z gorącem sercem i ukochaniem
I z wiarą wielką szli zawsze w pole.

Władysław Karoli.

„Jasełka“ w Poznaniu.

W zeszłą niedzielę odbył się na sali teatru Apollo koncert ludowy Towarzystwa Muzycznego „Lutnia‘‘, na którym wykonano „Jasełka‘‘ Maryi Konopnickiej z muzyką P. Maszyńskiego. Sala była przepełniona, a liczna publiczność nie żałowała, że przybyła na ten koncert, bo nie tylko, że



Marya Konopnicka.

program był bardzo obfity i urozmaicony, ale i utwory muzyczne, tańce i deklamacye podobały się ogólnie. To też żywe oklaski nagradzały tych wszystkich, którzy brali udział w tem, dla serca polskiego miłem ze wszech miar przedstawieniu.



Piotr Maszyński.

Królową wieczoru była córka poetki Maryi Konopnickiej pani *Laura Pytlińska,* która wygłosiła kilka do głębi duszy przenikających deklamacyi, wypowiedzianych z takiem zrozumieniem, że porywała wszystkich. Entuzyazmu i oklasków nie było końca. Pani Pytlińska zniewoloną była do wypowiedzenia kilku nadprogramowych numerów, także ulotniejszej treści.

Przedstawione przez „Lutnię‘‘ *„Jasełka‘‘* składały się z 23-ch obrazów i wykonane zostały znakomicie pod dyrekcyą p. St. Ogurkowskiego. Popisy solowe i chórowe wćwiczone z wielką starannością wypadły bardzo dobrze. Cieszyły wszystkich dziarskie „Mazury,‘‘ „Krakowiaki,‘‘ i „Oberki,‘‘ odtańczone z wielką werwą. Najwięcej się podobał nasz staropolski polonez, wyprowadzony przez organistę z całą powagą. Do podniesienia przedstawienia przyczyniły się w niemałej mierze śliczne i malownicze kostyumy, których dyrekcya teatru naszego na ten cel użyczyła.

„Lutnia‘‘ może być dumną z wyprowadzenia „Jasełek,‘‘ które się takiem cieszyły powodzeniem, że zachęca „Lutnię‘‘ z pewnością do powtórzenia koncertu, ażeby dać sposobność usłyszenia prześlicznego przedstawienia tym wszystkim — którym nie było możliwe dostać się na salę.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 22-go grudnia 1399 śmierć Henryka księcia opolskiego. — 1701 nadzwyczajny sejm w Warszawie.

Dnia 23-go grudnia 1287 odparcie Turków z pod Krakowa. — 1568 zjazd na sejm zjednoczenia do Lublina. — 1683 Jan Sobieski przybywa po kampanii do Krakowa.

Dnia 24-go grudnia 1634 śmierć Jana Alberta, kardynała. — 1712 amnestya cara dla wojska polskiego. — 1815 nadanie konstytucyi Kongresówce.

Dnia 25-go grudnia 1287 Tatarzy pędzą w jasyr 21,000 panien. — 1620 śmierć Reinholda Heidensteina, dziejopisarza. — 1706 zniesienie Moskwy w Przemyślu. — 1795 ukaz wcielający Litwę do Moskwy.

Dnia 26-go grudnia 1389 śmierć Bodzęty, arcybiskupa. — 1596 ustawa dla Inflant — 1655 Szwedzi uchodzą z pod Częstochowy.

Dnia 27-go grudnia 1355 hołd Ziemowita, księcia mazowieckiego. — 1499 potwierdzenie unii Litwy z Polską.

Dnia 28-go grudnia 1587 koronacya Zygmunta III. — 1806 bitwa pod Pułtuskiem i Gołyminem.

Nad przepych świata i blasków pozory,
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory.

Antoni Malczewski.

Od Administracyi.

Prosimy o pobłażliwość i przebaczenie tych Szanownych Czytelników naszych, którzy nie otrzymali w obecnym zeszycie „Pracy“ kolorowego obrazu albumowego p. t. „Święta Noc“.

Nie nasza w tem wina. Obrazy te przygotowane były w większej liczbie dla obecnego zeszytu, lecz w ostatniej chwili nadspodziewanie wielu nowych abonentów zgłosiło się o „Pracę“ tak, że nie tylko poczta zażądała kilka set egzemplarzy „Pracy“ więcej, ale także agenci o nierównie większą liczbę egzemplarzy naszego pisma się upomnieli. Wskutek tego zabrakło nam obrazów dla wszystkich zeszytów „Pracy“, a wydrukowanie ich w ostatniej chwili było niemożebnem.

Aczkolwiek szczęśliwi jesteśmy, że pismo nasze takiem się cieszy powodzeniem, to jednak przykro nam niewymownie, że kilkudziesięciu Czytelnikom mimowoli musieliśmy uczynić zawód.

Przepraszamy za to najuprzejmiej i donosimy, że w stosownym czasie postaramy się wynagrodzić niedobór.

Przypominając, **że czas najwyższy odnowić przedpłatę na przyszły kwartał,** polecamy się łaskawym względom Szanownej Publiczności.

Administracya „Pracy“.

Kwit pocztowy zamieszczony jest między ogłoszeniami.

Wiadomości.

* **Niniejszy numer gwiazdkowy** poświęciliśmy prawie wyłącznie świątecznym artykułom, nowelkom, wierszom i t. p. Z tego powodu odłożyliśmy recenzyę z teatru, artykuły nieświąteczne i korespondencye do następnego numeru.

* **Na Gwiazdkę** kto nie zakupi u swoich, uszczupli majątek narodowy. Kupujcie zatem tylko u swoich!

* **Henryk Sienkiewicz** *a wywłaszczenie.* Otrzymujemy z pewnego źródła wiadomość, że znakomity nasz powieściopisarz organizuje ankietę w całej Europie w sprawie wywłaszczenia. Techniczne wykonanie powierzył H. Sienkiewicz Zarządowi Paryskiego Biura Prasowego.

* **Składki:** *Na weterana z 1863-go roku* złożyli na nasze ręce: rękodzielnicy z fabryki machin rolniczych pod firmą „M. Arnold" w Ostrowie 4 mk., p. Goncerzewicz z Wilhelmshaven od członków Towarzystwa „Jedność" 4 mk. 60 fen.; razem 8,60 mk.; — *na szkolne dla ojca* kilkorga dzieci nadesłał p. Wojewodzki z Szaradowa 3 mk.

Kwoty powyższe doręczyliśmy komu należy.

* **Z teatru.** W sobotę 21-go b. m.: Nowość *„Wojna domowa"*, komedya w 3 aktach Zygmunta Przybylskiego, odznaczająca się szczerym humorem i nader zajmującą treścią. W sztuce tej biorą udział najlepsze siły naszego personału. (Ceny zwyczajne.)

W niedzielę 22-go b. m. po południu o godz. 3: *„Mokra przygoda"*, wodewil w 4 aktach ze śpiewami. (Ceny do połowy zniżone.)

W niedzielę 22-bo b. m. wieczorem: *„Na Chwaliszewie"*, arcywesoła sztuka w 4 aktach ze śpiewami i tańcami F. Dominika, z muzyką M. Świeżyńskiego. (Ceny zwyczajne.)

W środę dnia 25-go grudnia po południu: *„Szkoła."* (Ceny do połowy zniżone).

W środę wieczorem: *„Na Chwaliszewie."* (Ceny zwyczajne).

W czwartek dnia 26-go grudnia po południu: *„W ruinach."* Ceny do połowy zniżone).

W czwartek wieczorem: *„Sposób na mężów."* Zamiast pani H. Zimaier — pani Bogusińska. (Ceny zwyczajne).

W piątek 27-go grudnia wieczorem: *„Wojna domowa."* (Ceny zwyczajne).

* **Klisze albumowe**, przedstawiające reprodukcye obrazów Józefa Męciny Krzesza: „Chrystusa wśród tłumu," zamieszczonego w ostatnim zeszycie i „Królowej Jadwigi" w niniejszym zeszycie, wykonano w zakładzie artystyczno-chemigraficznym *p. Antoniego Fiedlera w Poznaniu przy ulicy Długiej nr. 11.*

* **Lutrzenie Księstwa.** Komisya kolonizacyjna wykupiła w północnej części pow. bydgoskiego liczne posiadłości naokół Koronowa i tworzy tym sposobem pierścień opasujący miasteczko. W przeciągu lat dwudziestu wybudowano przeważnie z pomocą „Gustawadolfferajnu" około tuzin kościołów protestanckich.

Jest to nowym dowodem na to, że rządowi nie zależy jedynie na niemczeniu, ale także i to w pierwszym rzędzie na protestantyzowaniu naszych dzielnic. Koszta ponoszą *i naród polski i Kościół katolicki.*

* **Międzychód** 6-go grudnia 1907. W mieście naszem jest *na sprzedaż dom w rynku*, w którym jest *handel łokciowy żydowski.* Bardzo tam interes idzie, bo ów żyd jest jedyny w Międzychodzie, co umie po polsku. Ludzie polscy formalnie się do tego handlu cisną, okolica jest polska, a polskiego handlu w tej branży nie ma, więc Polak bardzo pożądany.

Poszukuje się także *garncarza-piecownika*, któryby mógł już istniejący interes objąć dla choroby właściciela. Okolica duża, liczna i dobra klientela; latem ma zatrudnienie na 3—4 czeladzi.

Pewien tutejszy rodak, inteligentny kupiec, poszukuje kupna lub dzierżawy handlu kolonialnego albo gościńca w mieście lub na wielkiej wsi. Adres wskaże łaskawie redakcya „Pracy;" na odpowiedź proszę dołączyć znaczek dziesięciofenygowy.

Stary, gorliwy czytelnik „Pracy".

* **Wrocław.** Zanim zakażą mówić, jak nam dziób urósł, odbędzie się w *dzień Nowego Roku* 1908 po południu o godz. 3-ciej na sali Kasyno przy Neue-Gasse 22. I. *Wiec polski*, na którym także tutejsze stosunki kościelne będą omawiane.

O liczny udział Rodaków z Wrocławia i okolicy uprasza

Komitet.

* * *

* **Obrazki świetlane.** Właściciel znanej drogeryi *„Universum" p. B. Śniegocki* założył pierwszą na całym świecie polską fabrykę obrazków świetlanych. — Wyrabiano ich dotąd w obcych fabrykach dużo, lecz wszystkie o treści dla nas obcej. Oglądaliśmy na nich piękne miasta, krajobrazy, góry krajów obcych, atoli nic, coby zapoznawało lud nasz z krajem naszym. Fabryka p. B. Śniegockiego wyrabia jednakże przedewszystkiem przezrocza o motywach polskich. Posiada pomiędzy innemi całe serye polskich obrazów miast, gór naszych, oraz reprodukcyi obrazów sławnych naszych malarzy. Do seryi tych dostarcza firma ta pięknie opracowanych, gotowych już odczytów. Mieści się to wszystko w powiększonym i specyalnym *składzie fotograficznym tuż obok drogeryi przy ul. Rycerskiej nr. 37 pod firmą „Camera";* dawniej miał p. B .Ś. artykuły fotograficzne w jednym handlu z drogeryjnymi, lecz wskutek wzrastającej wciąż liczby odbiorców okazały się ubikacye te za małe, więc je rozdzielił, tworząc osobny skład drogeryjny i osobny fotograficzny. Widzieć też w nim można prawie o każdej porze dnia skład napełniony lubownikami sztuki fotograficznej. Równocześnie z otwarciem „Camery" zaprowadził właściciel jej także sprzedaż fonografów i gramofonów najnowszych konstrukcyi. Podziwialiśmy tam bogaty zbiór nut ze śpiewami sławnych śpiewaków i śpiewaczek, z koncertami orkiestralnemi, smyczkowemi itd. I tu także, jak w przezroczach dominują w bogatym repertuarze nasze piękne polskie pieśni i melodye. Prawdziwą rozkosz sprawia słuchanie wyjątków z naszej ślicznej „Halki," „Strasznego dworu" i innych. Gramofony te już są teraz tak ulepszone, że i najwybredniejszy posłucha ich muzyki z przyjemnością.

Kto cieszyć się chce wzrastającym wciąż rozwojem swego przedsiębiorstwa powinien uprzejmością, a przedewszystkiem towarem jaknajlepszym starać się utrzymać zaufanie swych odbiorców, której to zasady trzymał się zawsze p. B. Śniegocki.

* **Bogatą kolekcyą pocztówek** polskich na *Boże Narodzenie i Nowy Rok* wydał zakład artystyczno-chemigraficzny *Antoniego Fiedlera w Poznaniu* (Długa ul. 11). Piękne te pocztówki ilustrują nasze zwyczaje i nic nie mają wspólnego z tandetą międzynarodową tak skrzętnie rozpowszechnianą przez obcych nam fabrykantów i nakładców. *Polecamy też gorąco nakłady p. Antoniego Fiedlera zwłaszcza odsprzedającym z drugiej ręki.*

* **Album posłów naszych**, które wydać zamierzał zakład fotograficzny Atelier Rubens dawniej E. Mirska, na razie jeszcze nie ujrzy światła dziennego. Nie wszyscy bowiem posłowie, zaproszeni przez rzeczoną firmę, przybyli do zdjęcia, skutkiem czego Atelier Rubens nie posiada dotąd fotografii wszystkich posłów. Część ich tylko można zatem oglądać w wystawie zakładu, przy placu Wilhelmowskim l. 3. Są to dotąd: Dr. Szuman, senior Koła poselskiego, trzech członków izby panów i kilku posłów do sejmu lub parlamentu. Doskonałą charakterystyką odznacza się głównie fotografia p. Kościelskiego, dr. Skarzyńskiego, tudzież księdza prałata Stychla, wreszcie i samegoż dr. Szumana, niezrównana w plastyce. Niemniej dobrze wychodzi reszta fotografii, panowie Chłapowski i Moszczeński, członkowie izby panów i posłowie Chłapowski Alfred, Chrzanowski Bernard, dr. Niegolewski, radzca Mizerski i Władysław Seyda.

Firma Rubens osiągnęła swój obecny wysoki poziom artystyczny głównie dzięki temu, że wytrwale idzie z postępem czasu, zaprowadzając coraz nowe ulepszenia, stosownie do nowoczesnych wymagań.

* **Ważne** *dla Kupców i Przemysłowców.* Zwracamy pp. kupcom i przemysłowcom uwagę na wychodzący w Poznaniu od blisko roku organ handlowy „Kupiec," który w ciągu krótkiego swego istnienia już dwukrotnie powiększył swą objętość. Każdy numer „Kupca" zawiera cały szereg artykułów tak z dziedziny ogólno-ekonomicznej jak i z dziedziny techniki kupieckiej. Obok tego podaje „Kupiec" wiadomości o cenach i konjunkturach najważniejszych artykułów,

subhastach nowo założonych przedsiębiorstw etc. Jestto jedyne pismo zawodowe dla kupców w zaborze pruskim.

Ze względu na znaczenie, jakie oświata zawodowa, szczególnie zaś handlowa w naszych warunkach posiada, musimy pp. kupcom i przemysłowcom organ ten gorąco polecić. Prenumerata kwartalna 1 M. Abonować można od 15-go bm. począwszy na wszystkich pocztach i u listonoszów.

W Poznaniu abonować można w składzie cygar p. M. Drostego i w składzie papieru „Aquilla“ przy ul. św. Marcina.

* **Zbliża się gwiazdka**, a z nią sposobność dawania upominków. Zwracamy szczególną uwagę na ogłoszenie *firmy p. Daneckiego, przy ulicy Bismarcka nr. 2. I ptr.*, który ma pod tym względem olbrzymi wybór towarów stosownych na prezenta. Niechaj nikt nie omieszka sprowadzić sobie cennik p. Daneckiego, który jest bogaty, bo ma stron 125. Szczególnie zegarki najlepiej kupuje się u p. Daneckiego, to świadczą setki pochwał, a nawet ze Sybiru, Ameryki i Afryki, a że pan D. znany jest ze sumienności swojej, szczerze go polecić można.

Nekrologia.

† *Ś. p. Antoni Kranz* w Morzewie w 63 roku życia, dnia 14-go b. m.; śp. *Marya z Radeckich Prusinowska* w Poznaniu, przeżywszy lat 71; — ś. p. *Matylda Wyrzykowska* w Jaraczewie w 67 roku życia; — ś. p. *z Kalkstein-Osłowskich Leontyna Wolska I voto Tarnowska*, dnia 13-go b. m. w Poznaniu; — ś. p. *Józef Bartosiewicz, urzędnik konsystorski* w Poznaniu, przeżywszy lat 66. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— *Do Małej Goli.* — Zamieściliśmy w zeszycie zeszłym na dzień 15-go b. m. Nazwiska kupca żydowskiego nie podaliśmy, bo często się już wydarzyło, że w takim razie ścigał prokurator redaktorów polskich za rzekome bojkotowanie kupców żydowskich. Co do późnego odbierania „Pracy“ z poczty, to udaj się Szan. Pan w tej sprawie do miejscowej poczty z zażaleniem. Poczta poznańska dostaje zawsze od nas wcześnie cały zamówiony nakład „Pracy“ dla swych abonentów. Za życzenia nowemu wydawnictwu „najlepszego powodzenia“ najserdeczniej dziękujemy, zasyłając mile pozdrowienie.

— *Kandydatowi św. teologii Janowi W. w Detroit (Ameryka).* — Bardzo będziemy wdzięczni za artykuły z życia tamtejszych Polaków, o zagadki także prosimy. Dziękując najuprzejmiej za życzliwość, pamięć i pozdrowienie, ślemy najserdeczniejsze bratnie pozdrowienie na drugą półkulę.

— *Panu Tomaszowi P. w B. (Górny Śląsk).* — Pisze nam Szan. Pan: „„Praca“ mi się bardzo podoba i życzę jej jak najlepszego rozwoju.“ Takie, dochodzące nas liczne z grona czytelników głosy, niezmiernie nas cieszą; widocznie ziarna nasze padają na urodzajną polską glebę. Za życzenia staropolskie: „Bóg zapłać!“

— *Paniom M. H. i M. S. oraz panu L. P. w Stęszewie.* — Za serdeczne pozdrowienia dziękujemy serdecznie.

— *Nieszczęśliwej Polce: 212.* — 1) Kolor narodowy polski jest biały i amarantowy. 2) Jeżeli rzeczywiście był przymus, a nie własna wola, toby był ważny punkt do rozwodu, który uznają sądy i władze pruskie, ale nie uznaje go Kościół katolicki. Jeżeli żona opuści męża przed rozwodem, to policya może na jego wniosek przyprowadzić żonę mężowi z powrotem.

— *Panu Antoniemu S. w Hochemerich.* — 1) O ile wiemy — nie wychodzi. 2) Gebethner i Spółka w Krakowie, Rynek, Galicya, 3) księgarnia pod firmą „R. Landau“ istnieje we Lwowie.

— *Panu Wiktorowi R. w Poznaniu.* — Notatkę otrzymaliśmy już po wydrukowaniu zeszytu na dzień 15-go b. m.; zatem nie mogliśmy ogłosić.

— *Panu I. D. w Miłosławiu.* — Na święta Bożego Narodzenia, przynoszące ludziom „pokój dobrej woli,“ nie chcieliśmy tej drażliwej sprawy poruszać, ale materyał zużyjemy przy sposobności; dziękujemy za łaskawą pamięć.

— *Panu Janowi M. (głuchoniememu) w Wągrówcu.* — Rozwiązanie nadeszło za późno, *wyjątkowo* wysyłamy nagrodę.

Humor i satyra.

Na pasterkę.

Na pasterkę dążą wiochny:
Kasia, Basia i Maryna:
Idą boso, chociaż stopa
W śniegu mroźną toń się wrzyna.

Śpieszą boso, w ziąb siarczysty,
Wichr zawodzi hymn swój dziki
I ostrożnie, z pietyzmem,
W rękach niosą swe trzewiki.

Szedł filozof, pisarz dworski,
I zapytał: — Hej, dziewoje!
Idąc boso narażacie
Na przygody — zdrowie swoje!...

Na to wiochna mu odpowie:
— Gdzie masz rozum, wielkie nieba!
Zdrowie mamy wcale darmo,
Za trzewiki płacić trzeba!

* * *

Życzenia świąteczne.

Jakież wam życzenia świąteczne słać mamy?
By wynaleść trafne — nie trzeba olbrzyma:
Niech z was każdy wrzawę dzisiejszą i kramy
Bez ujmy dla zdrowia, cierpliwie wytrzyma!

* * *

Na Gwiazdkę.

Żywą zabawkę — nota bene męża —
Oby na Gwiazdkę zesłało mi niebo,
Abym ją mogła nakręcać dowoli
Za każdą myśli — i serca potrzebą.

Panna na wydaniu.

* * *

Przepowiednie.

Na *Wilji koło panny* kto zbyt blisko siedzi,
Ten pewnie na *Trzy Króle* da na zapowiedzi...
W *Gromniczną* straci wolność — a na *Zmartwychwstanie*
Zazwyczaj są już kwasy... ba często *i* pranie!

* * *

Panna na wydaniu.

Na *Boże Narodzenie*
Zakochał się w niej szalenie;
Na *Nowy Rok*
Ona nań rzuciła wzrok;
Na *Trzech Króli*
Wzajem coś do siebie czuli;
Mimo to już na *Gromniczną*
Zaczął z drugą — kamieniczną...
Wkrótce, bo już w *Wielkim poście*
Do rozwódki chodził w goście —
Na *Wielkano* zaś za karę
Wziął za żonę babsko stare!

* * *

Z lodu.

Hej łyżwiarko, łyżwiarko!
Po tej lodowej błoni,
Jak ty dzisiaj mkniesz szparko:
Łyżwiarz próżno cię goni!

Jakaż tego przyczyna,
Kiedy ty i on młody?
Obojętna dziewczyna
Snać w serduszku ma lody.

Nic to! — przyjdzie wiosenka,
Która wszystko pokona,
Tu i tam lód popęka:
Padniesz w jego ramiona.

* * *

Czemu?

— Tak zwlekają z oznajmieniem zaręczyn — czemuż to?

— Hm... wie pani, jeszcze umowa handlowa nie zawarta, jeszcze się kłócą o kilka... zer.

* * *

Na Żydowskiej ul. w Poznaniu.

(Przy nawiązywaniu rozmowy).

Zgubiałam dżyszaj na ulice nowe jed-

wabne chusteczkie, mało mnie szlag nie trafiuł.

Co pani jadła dżysz na obiedże? U nas buło bobełech z kluseczki.

Czy państwo znów w te lato do Marjenbad? Mój monż ma troche kluczc w wątrobe, to on pojedże do Kalsbady.

Czy pani kupiła swego nowego regemnamtel na licytacje?

Moja Maryssza jest ciągle piskała antysemitka i ja ją wirzucę, żebym tak zdrowa buła.

Dżyszaj mamy bardzo ładną pogodę: kszężyc sobie szwyczy.

Czy pan, pańska żona i pańskie dżeczy spekulują jeszcze na giełde?

Co sobie porabia pańska żona? Moja jest bardzo rozumna kobieta, ona sobie poczychu pożycza na wygodnych procentów.

* * *

Tęga gosposia.

Młoda pani (z miasta, krótko po ślubie): Niechże Kasia kupi na targu węgorza.

Kucharka: A ile mam kupić?

Młoda pani: A no, tak ze dwa łokcie — A niech Kasia też nie zapomni kupić w drogeryi tego czerwonego proszku. Jutro bowiem będziemy mieli raki, a chciałabym, żeby tak ładnie czerwono wyglądały jak u naszej sąsiadki.

* * *

Nagrobek.

Ten pomnik, mąż stroskany stawia żono, Tobie!
Odpocznijmy oboje; ja w domu — ty... w grobie.

* * *

Zależy.

— Co? 90 lat miał wuj pański i do ostatniej chwili zachował przytomność umysłu?

— Hm, tego jeszcze nie mogę powiedzieć, testament jeszcze nie otworzony.

* * *

Scena małżeńska.

Żona (płacze). Obym cię nigdy nie była spotkała!

Mąż. Tak, tak, niestety spóźniona litość.

* * *

Z strejku.

— Dlaczego nie bierzesz udziału w strejku?

— Mam do tego siedm powodów.

— Siedm powodów Jakież to?

— Żonę i sześcioro dzieci.

* * *

Dawano!

—Czy dawano już pańską sztukę?

— Ba, czy raz!

— Czemuż jej nie pamiętam?

— Bo ją dawano kilka razy dyrektorowi teatru, ale nie chciał jej wziąć.

* * *

Przezorna.

— Nie płaczcie tak Marcinowa... nieboszczyk już nie wstanie.

— Oj!... biednaż moja głowa...
A schowajta do kuferka gromnicę, to się drugiemu psyda...

* * *

Na czasie.

— Jaka różnica jest między *katarem a pieniędzmi?*

— ?

— Katar można łatwo *nabyć*, a trudno *stracić*, a z pieniędzmi ma się rzecz odwrotnie.

* * *

W sądzie.

Sędzia do oskarżonego: — A zatem przyznajesz pan, że ukradłeś tyle worków mąki u oskarżyciela?

Oskarżony: — Siedem, świetny sądzie: trzy w poniedziałek, a dwa we wtorek.

Sędzia: — To dopiero razem pięć.

Oskarżony: — Tak, ale ostatnie dwa worki wezmę dopiero dziś wieczór.

Łamigłówki.

Ułożył czytelnik „Pracy“, p. J. Zięborak z Białej w Galicyi.

I.

Zadanie literowe.

1. pal, 2. mak, 3. astry, 4. mara, 5. ość, 6. kurek.

W powyższych wyrazach należy zmienić pierwszą literę tak, żeby powstały nowe wyrazy. Początkowe litery tych nowych wyrazów dadzą nazwisko sławnego kompozytora i muzyka polskiego.

II.

Logogryf.

a
a a a
a b c d e
e g i ł i i i
k k k k k k k ł ń
ń o o o r r r
r s s s s
s s y
w

Z powyższych liter utworzyć 9 wyrazów oznaczających: 1. samogłoskę, 2. część twarzy, 3. rzekę w Polsce, 4. lingwistę polskiego, 5. poetę polskiego (z logogryfu) 6. miasto we Włoszech, 7. kąpiele nad zatoką tryesteńską, 8. przeciąg czasu, 9. spółgłoskę. Środkowe głoski, czytane z dołu do góry, dadzą nazwisko sławnego poety polskiego.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 28-go grudnia włącznie.

Nadmieniamy, że przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko dokładne rozwiązania tak poszczególnych wyrazów jak też całych zagadek

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Rozwiązanie szarady z nr. 49-go:

1-sze **O**
1 i 2 **o k o**
2 i 3 **k o l i**
3 i 4 **l i c e** a więc: **okolice.**

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. L Ludkowski, J. Latanowicz, Janek z pod Góry Przemysława, Karolek Śródecki; *z prowincyi:* pp. Marya Schulz, Leonard Piotrowski, Marya Kliszkowiak ze Stęszewa, Zygmunt Neuman z Pleszewa, Marya Markiewiczówna z Krotoszyna, Józef Szperkowski z Pożarowa; *z Prus Zachodnich:* p. Bernard Pawłowski z Zakrzewa, *z Warmii:* p. Alojzy Szliwa z Olsztyna; *z Górnego Śląska:* p Tomasz Piecha z Burowca; *z Galicyi:* pp. Kostkiewiczowa Józefa z Czarnego Dunajca, Marya Zborowska z Andrychowa i Wojciech Priefer z Niegoszewic; *z obczyzny:* p. Ignacy Lewandowski z Charlottenburga.

Nagrodę otrzymali: pp. B. Pawłowski z Zakrzewa, Zygmunt Neumann z Pleszewa i Alojzy Szliwa z Olsztyna.

Trwoga przed życiem

czyli

Bohaterska Matka.

Powieść z francuskiego, uwieńczona nagrodą przez akademią francuską, tłomaczyła *P. O.*

Tom pierwszy.

ROZDZIAŁ I.

Powrót Marcela Guiberta.

Pani Guibert gotową była do wyjścia. Pomimo, że barometr wskazywał pogodę, i że na niebie żadnej nie było chmurki, trzymała lewą ręką parasol, prawą zaś odsuwała raz po raz welon krepowy, spadający jej z kapelusza na twarz. Pani Guibert znajdowała się w swoim saloniku w Maupas i była widocznie bardzo niecierpliwą. To usiadła na chwilę, chcąc się zmusić do spokoju, i spoglądając nieustannie na zegar, ozdobiony groźnym Vercingetorixem z bronzu, to zrywała się i chodziła po saloniku krokiem wolnym i zmęczonym. Potem, jak gdyby się namyślać chciała nad kaprysami cyferblatu, usiadła znowu, lecz nie na jednym z licznych foteli, dosyć już zniszczonych, chociaż miękkich i wygodnych, tylko na krześle, z którego mogła wstać prędzej, bez zbytecznego zadyszenia się.

Pani Guibert, podeszła już w latach, była niską, otyłą i oddychała wolno. Twarz jej miała wyraz łagodności połączonej z pewną energią, oczy zaś, jasno niebieskie, wyrażały tyle niezmiernej czułości i tyle zarazem smutku, że zdawały się być zawsze łzami zamroczone. Spojrzenie jej zdradzało naturę nieśmiałą i kochającą, zatrwożoną trochę życiem zewnętrznem, podczas kiedy czworokątna prawie broda i cała postać krępa i wyprostowana robiły wrażenie siły i odporności. Policzki, pomimo podeszłego wieku zawsze jeszcze świeże, wskazywały obieg krwi zupełnie prawidłowy i całą zdrowotność silnego organizmu.

Po kilku minutach cierpliwego czekania uchyliła drzwi przyległego pokoju i zawołała:

— Przyjdziesz wnet, Paulo? Czas nam jechać.

— Ach mamo, — odpowiedział głos świeży i dźwięczny, — jeszcze tak rychło!

— Zegar wskazuje siódmą, — nalegała pani Guibert.

— Wiesz mamo, że idzie o całe trzy kwadranse za prędko!

— Ale może zwolnił nagle! Ten zegar taki kapryśny!

Głośny, serdeczny wybuch śmiechu, bez cienia jednak szyderstwa, był odpowiedzią młodej dziewczyny.

— Biorę kapelusz i przyjdę zaraz, — dodała.

Pani Guibert zrezygnowana usiadła znowu, obejmując spojrzeniem całe urządzenie wiejskiego saloniku, w którym białe, podwójne firanki, świeżo wyprane i wyprasowane tłumiły ostatnie promienie zachodzącego słońca, ozłacającego liście rozłożystych drzew przed domem. Wszystkie meble i przedmioty w tym pokoju harmonijną tworzyły całość, żaden przedmiot zbytkowny nie psuł jej — sprzęty były staroświeckie, trwałe i nosiły cechę dawnych pokoleń i zanikłego smaku. Dwa miedzioryty, z jednego pochodzące wieku, przedstawiały wdzięczne sceny z *„Pawła i Wirginii.“* Na jednym z nich, zatytułowanym *„Kąpiel,“* widać było młodą dziewczynę, wchodzącą do wody i przytrzymującą koszulkę na białem, gładkiem ramieniu, na drugim obrazie *„Strumień“* przenosił młody Paweł uroczą postać swej ukochanej przyjaciółki ostrożnie przez rwącą wodę. Nieco dalej wisiał drzeworyt świeższej daty, przedstawiający „Pożegnanie w Fontainebleau: na ciemnem tle grenadyerów, uzbrojonych aż po uszy i w ścisłym zwartym szeregu, jaśniał jak gwiazda w samym środku tej sceny historycznej, biały mundur cesarza. Modny kierunek w malarstwie zastąpiony był mocno wyblakłą akwarelą, na której pod jasnem niebem Wschodu kawalerya francuska barwne namioty Abd-el-Kadera szturmem zdobywała. Pianino zarzucone nutami i dwie szafki przepełnione partyturami zdradzały wielkie zamiłowanie mieszkańców tego domu do muzyki, podczas kiedy stare skrzydło polisandrowe, pozbawione od dawna wszelkiego dźwięku, jako stół tutaj służyło.

Wszystkie te, dobrze znane przedmioty, nie zwracały już na siebie uwagi pani Guibert, nagle jednak spostrzegła, że jeden z wazonów nie stał na swojem miejscu. Przyzwyczajona do porządku, wstała i postawiła go inaczej, bo nieładu znieść nie mogła! Wazon ten, napełniony kwiatami, był ofiarą, którą póki róże kwitły składała portretom swoich ukochanych, przypominającym jej wszelkie smutki i radości, jakich w życiu doznała. Był to jej ołtarz domowy, na którym codziennie wonny swój dar składała. Innym razem byłaby ją niedbałość służącej bardzo gniewała, dziś, chociaż postawiła wazon na przeznaczonem mu miejscu, nie myślała już dalej o nim. Zanadto była wzruszoną i niecierpliwą. Spojrzała na portrety i zdawało jej się, że twarze męża i córki uśmiechają się do niej — dziś w dniu szczęścia, chociaż w domu była żałoba!

Mąż jej, doktor Maurycy Guibert umarł na początku przeszłego roku. Stał on się ofiarą swego poświęcenia, lecząc chorych na tyfus, a córkę Teresę, śliczną, dwunastoletnią dziewczynkę, powołał Bóg w kwiecie młodości do siebie kilka lat przed śmiercią męża.

Tym dwojgu ukochanym zmarłym przynosiła pani Guibert codziennie róże!

Jej młodszy syn, Marceli, wracał do Francyi. Brał on udział w wyprawie na Madagascar i w przytłumieniu zbuntowanych Fahavalosów. Uzyskawszy w dwudziestym ósmym roku stopień kapitana i ozdobiony orderem Legii honorowej, wracał żyw i zdrów po trzech latach nieobecności, spędzonych na polu chwały. Telegram wysłany dziś rano z Marsylii, odczytywany co najmniej z dziesięć razy i leżący zawsze jeszcze na stole w salonie, oznajmiał jego przybycie do Chambery kuryerem o wpół do ósmej wieczorem. I dla tego była pani Guibert już od dwóch godzin gotową do wyjścia. Chciała powitać syna zaraz na dwor-

cu, i myślą towarzyszyła pociągowi, wiozącemu jej Marcela.

A jednak bała się trochę tego spotkania, do którego potrzeba jej było całej odwagi i siły. Marceli dowiedział się o śmierci ojca na wybrzeżach Betsiboki, a jeżeli śmierć zabiera z dala od nas tych, których kochamy, czy nie zwiększa to naszej boleści, naszej rozpaczy?

Pierwsze spojrzenie młodego człowieka padnie naturalnie na jej żałobną suknią i na twarz jej, postarzałą mocno w ostatnich latach. Cień jakiś stanie pomiędzy nimi.

— Dotychczas, — pomyślała, — witał on na dworcu każde wracające dziecko do domu, teraz ja muszę być na jego miejscu.

W tejże chwili weszła Paula do saloniku. Bujne, lśniące czarne włosy otaczały jej twarzyczkę okrągłą, o matowo białej cerze. W czarnej sukni wydawała się niższą, pomimo to jednak nie wyglądała wcale jak dziewczyna słabowita lub zbyt delikatna. Dumnie podniesiona główka i stanowczy wyraz oczu zdradzały w niej dużo energii i odwagi,, a urok młodości nadawał jej spojrzeniu blask, podobny do drżącego migania, jakie światło okrętów zostawia na falach wody. To dziecko dwudziestoletnie poznało cierpienie w tym wieku, w którym powinno było używać w całej pełni przyjemności życia. Nie chcąc stracić sił i odwagi, stała się nieprzystępną, lecz tajemna walka jej uczuć nadała zupełnie odmienny charakter całej jej istocie.

Teraz jednak czarne oczy dziewczęcia błyszczały radością i twarz jej miała wyraz nowego szczęścia. Wyglądała jak pierwsza róża, rozkwitła na wysokiej, delikatnej łodydze. Ale pani Guibert była zgorszoną tem, że córka jej nie miała jeszcze kapelusza.

— Cóż to, nie jesteś jeszcze gotową? — zawołała. — Jesteś doprawdy nierozsądną!

— Mama też gotową nie jest, — odrzekła młoda dziewczyna z wesołym uśmiechem.

Trzymając w ręku nowy żałobny kapelusz obwiedzony białą wypustką, jaki zawsze noszą wdowy, zbliżyła się prędko i lekko do matki.

— Siedź mamo, proszę! — rzekła. — Muszę cię ustroić na przybycie syna! Przybrałam świeżo ten kapelusz, czy nie ładny? Ten, który masz na głowie, zupełnie już zniszczony!

I z wdziękiem, który do szczętu zwalczył opór matki, dodała:

— Pozwól mi być twoją garderobianą. Wiem, że cię ramię boli!

— Tak. Mam znowu reumatyzm, — szepnęła pani Guibert.

Po zamianie kapeluszy, przyczem wcale nawet w zwierciadło nie spojrzała, zapytała nieśmiało córki, tak, jak gdyby chciała jej się przypodobać:

— Jak myślisz, dziecko — czy to już nie czas......

— Już.! już, — odrzekła Paula. — Powiem Trelazowi!

Trelaz był to gospodarz, który miał zawieść obie panie na dworzec w Chambery.

Po wyjściu Pauli spojrzała pani Guibert na wszystkie swoje dzieci złączone na jednej fotografii. Było ich wówczas sześcioro — dziś jednak tylko już pięcioro. Najstarszy Stefan, był inżynierem w Tonkinie, Marceli kapitanem strzelców, Małgorzata została Siostrą Miłosierdzia. Trzeci syn, Franciszek, nie złożywszy żadnego egzaminu, pojechał do brata na daleki Wschód, Paula zaś ostatnią była ozdobą tej korony życia. Ile chwil ważnych, ile smutku rozstawania się zniosła ta kobieta w przeciągu swych sześćdziesięciu lat!

Teraz wróciła Paula z oznajmieniem, że Trelaz zajechał i włożyła kapelusz na głowę spojrzawszy jednak na stary zegar, który drwiąc sobie z zegarmistrzów, zachował pomimo wszelkich reperacyi swoją niezależność, nie mogła się powstrzymać od zwrócenia uwagi na niecierpliwość matki.

— Poczekamy przeszło godzinę na dworcu, — rzekła.

— Ale ja — nie chciałabym się spóźnić, — upewniała ją pani Guibert.

I wychodząc z domu, obróciła się do starej służącej, która spiesznie wkładała okulary na nos, aby nie stracić żadnego szczegółu z wyjazdu pań i rzekła:

— A uważaj na kolacyę, Marynko!

Potem weszła z wielkim trudem na wiejski wózek, stojący przed domem, a gdy nareszcie usiadła, usiłowała się uśmiechnąć do córki, i ten uśmiech niedokończony wrócił na chwilę jej twarzy ów wdzięk i świeżość, które były największym urokiem jej młodości. Paula wskoczyła zgrabnie i zajęła miejsce obok niej.

— No dalej, mój przyjacielu, — zawołała pani Guibert. — I pospieszcie się trochę! Ale nie bijcie konia i ostrożnie z góry!

— Jakoś się zajedzie! — odparł wieśniak z spokojem filozofa.

I wózek ruszył. Był to rodzaj staroświeckiej bryczki, której fason znikł już zupełnie. Na siedzeniach podłużnych w środku bryki, siedzieli jadący tyłem do siebie, mając nogi oparte o ramę drewnianą. Z powodu śmiesznego kształtu tego pojazdu, nie obyło się nigdy przy wsiadaniu bez rozmaitych żartów.

Koń także już nie pierwszej młodości, szedł wolno aleją kasztanów i platanów o ciężkich liściach, przebył bramę zawsze już dla tego samego otwartą, że zawiasy zupełnie były zardzewiałe, zwrócił się na drogę do Vimines, ocienioną dębami i po minięciu małej płaszczyzny stanął na głównej drodze, wiodącej z Lyonu do Chambery przez wieś Cognin. Drewniany hamulec przyczepiony do koła skrzypiał nielitościwie na piaszczystej dotąd drodze. Teraz, na szerokiej żwirówce, zaczęła stara gniada klacz cokolwiek żwawiej przebierać nogami, jak gdyby ją bieg więcej zajmował, i skończyła na niedbałym, drżącym truchciku, który bojaźliwa pani Guibert nazwała wyciągniętym kłusem.

Tymczasem po za Signalem, to jest częścią łańcucha gór Lepine, zaszło już słońce, lecz jasna światłość wieczoru latowego oświecała pola bardzo jeszcze długo.

— Mamo, spojrzyj na góry, — odezwała się Paula.

Tworzyły one szeroki pas w około Chambery; ich skaliste wierzchołki skąpane były w falach olśniewającego różowego światła, podczas kiedy cień błękitny, ów zwiastun pogody, unosił się na dole, jak powiewna, przezroczysta zasłona. Ale pani Guibert za wielki miała kłopot, aby podziwiać na wierzchołkach gór odblaski zachodzącego słońca, i nagle wyjawiła przyczynę swego niepokoju, szepcząc:

— A gdyby pociąg prędzej dziś przyszedł?

I chociaż wyrzekła słowa te z głębokiem przekonaniem, to jednak pierwsza uśmiechnęła się na myśl swoją dziwną i niemożliwą.

Nareszcie ujrzała blady i łagodny cień, który przesunął się już po nad górami i pozwolił na chwilę widzieć w całym blasku krzyż w Nivolet. Wskazała znak ten swej córce, jako znak jaśniejącej wiary. Potem okryła się cała przyroda ciszą i spokojem, i po raz pierwszy od dawna

napełniły się serca obydwóch kobiet w żałobie, dziwną swobodą.

Niedaleko Chambery wyminął bryczkę Trelaza jakiś pojazd zaprzężony w parę dzielnych rumaków.

— Jest to powóz państwa Dulaurens, — rzekła Paula, — jadą do Aix. Nie ukłonili nam się!

— Nie poznali nas!

— O, przeciwnie! Ale od czasu jak straciliśmy majątek ratując wuja, kłania nam się o wiele mniej osób!

Paula wspomniała tu o nieszczęściu, jakie dotknęło państwa Guibert krótko przed śmiercią jej ojca. Pani Guibert ujęła jej rękę.

— To nic, dziecko drogie! — rzekła. — Pomyśl, że za chwilę ujrzymy Marcela.

Ale po dosyć długiem milczeniu zaczęła Paula znowu:

— Wszakże mój ojciec leczył i wyleczył Alicyą Dulaurens, wówczas, kiedy w Cognin tak okropnie tyfus panował? Ojciec ostatnią był ofiarą tej straszliwej choroby, nieprawdaż?

— Tak, — szepnęła stara kobieta, której wspomnienie to całą psuło radość. I cicho, łagodnie, nie uskarżając się wcale, dodała:

— Zapomnieli nam nawet zapłacić..... ale to zwyczaj ludzi bogatych. Oni nie wiedzą, co to znaczy, zarabiać na życie!

— Tak jest! Myślą tylko, w jaki sposób się bawić!

Pani Guibert spojrzała na córkę i dostrzegła wyraz goryczy i niezadowolenia na jej twarzyczce.

— Słuchaj, — rzekła poważnie, — nie trzeba im zazdrościć. Bawiąc się, zapominają o tem, że żyją. Nie wiedzą oni wogóle, jak drogiem jest życie! Nie znają uczuć, które napełniają serca i wywołują silniejsze jego bicie. Straciłam córkę Teresę i męża, który był całem mojem szczęściem i jedyną podporą. Małgorzata jest zakonnicą, nie widziałam jej pięć lat! Stefan i Franciszek są w Tonkinie, i nie znam nawet mego wnuka, który tam się urodził! Marceli wraca po trzech latach nieobecności i śmiertelnych moich strachów o niego! A jednak życie moje było pięknem, i dziękuję Bogu za to, że obdarzywszy mnie najwyższem szczęściem, zesłał na mnie doświadczenia. Odczuwam codziennie Jego dobroć — bo nawet i w cierpieniu i niedoli dał mi pociechę — to jest ciebie!

Drobna, biała rączka Pauli ujęła w serdecznym uścisku szorstką i pomarszczoną rękę matki. Na drogę nie brały obie rękawiczek.

— Masz słuszność, mamo — rzekła Paula, — nie będę się już na nic uskarżać!

Po upływie pół godziny stanęła bryczka u celu, to jest w Chambery, odległem o trzy kilometry od Maupas. Trelaz zawiózł panie na dworzec i stanął z bryczką na stronie, na samym końcu obszernego placu, daleko od omnibusów hotelowych, dorożek i powozów. Ale konie tych wszystkich pojazdów, stojące w jednym rzędzie, zazdrościły jego klaczy, przed którą położył worek, napełniony wonnem sianem.

Paula spojrzała przedewszystkiem na zegar i zdziwiła się, że już dziesięć minut po siódmej. Matka zauważyła to i szepnęła:

— Wszakże mówiłam ci, że się spóźnimy!

Paula uśmiechnęła się.

— Spóźnimy się? Dlatego, że czekakć będziemy tylko dwadzieścia minut?

Teraz chciały naturalnie iść do poczekalni, ale zaledwie pani Guibert otworzyła drzwi, cofnęła się przerażona. Paula pociągła ją lekko ze sobą i zmusiła do wejścia. Sala była zapełniona publicznością strojnie ubraną, było to najlepsze towarzystwo z Chambery, oczekujące przybycia pociągu z Aix-les-Bains, tak zwanego „teatralnego.“

Pani Guibert poznała natychmiast panią Dulaurens, i zmieszana, nie chciała iść dalej.

— Idźmy do poczekalni trzeciej klasy, — szepnęła. — Tam będzie nam o wiele lepiej!

— Czemu? — odpowiedziała Paula.

W tejże chwili zbliżył się do nich młody, przystojny mężczyzna, rozmawiający dotąd z kilku paniami, i powitał je z rycerską uprzejmością, zjednującą mu od razu wszelką sympatyą. Pani Guibert poznała go — był to Jan Berlier, przyjaciel Marcela.

— Przyjechałyście panie po kapitana, nieprawda? Bo o ile wiem, nie lubisz pani wyjeżdżać, — odezwał się z uśmiechem do pani Guibert.

— Ja? Nie!

— Jaki on będzie szczęśliwy, że zaraz tu panie zobaczy!

— Dawniej, — rzekła matrona do tego młodzieńca, którego od dziecka znała, — dawniej przyjeżdżał ojciec po niego. Rozumiesz pan..........

— Tak, wiem!

Lecz nie chcąc mówić o żałobie w miejscu publicznem dodał prędko:

— Więc będę mógł jeszcze przed odjazdem uścisnąć rękę Marcela.

— Odwiedzisz go pan przecież u nas, w domu! Wyjeżdżasz na długo?

— Nie, na dzień tylko. Jedziemy do Aix, na pierwsze przedstawienie „Życia cyganów.“ Ale teatr nie interesuje pani!

Pani Guibert jednak, zawsze szczera i otwarta, odrzekła:

— Nigdy jeszcze w teatrze nie byłam! I prawdę mówiąc, nie żałuję tego!

Chociaż mówiła półgłosem, słyszały dwie młode dziewczyny w jasnych sukniach ostatnie jej słowa. Jedna z nich, brunetka o zmysłowej twarzy, śmiałem spojrzeniu i wyniosłej postaci, głośnym wybuchnęła śmiechem, lecz pobudził ją do tego młody porucznik od dragonów, który z nią rozmawiał. Paula zmierzyła ją pogardliwem spojrzeniem swych ciemnych oczu, a źrenice jej złowrogim błysnęły ogniem.

— Nie męczcie się panie długiem staniem, — rzekł jeszcze Jan.

Pani Guibert usiadła w ciemnym kącie, na krześle, stojącem obok próżnego fotelu, jak osoba nieśmiała i pokorna.

— Ależ usiądź na fotelu, mamo, — zawołała Paula trochę szorstko, i równocześnie zamieniła ukłon z młodą dziewczyną, która stojąc obok owej śmiejącej się brunetki, była poważną i gniewała się na swoją przyjaciółkę za jej nietaktowność. Dla tego też ukłoniła się Pauli z większą, niż trzeba było uprzejmością, otrzymując za to niedbałe skinienie głowy.

Jan rozmawiał jeszcze chwilę z panią Guibert, poczem pożegnał ją i wrócił do swego towarzystwa. Paula patrzała za odchodzącym i słyszała rozmowę jego z panią Dulaurens.

— Tak, to pani Guibert, — mówił Jan. — Oczekuje tu syna wracającego z Madagascaru.

— Którego syna? Ma ich tylu!

— Marcela, oficera!

— Jaki stopień?

— Marceli jest kapitanem, zaszczyconym orderem Legii honorowej i dzielnym człowiekiem, — zawołał Jan

prędko, zniecierpliwiony trochę temi natrętnemi pytaniami. Śmiejąca się brunetka wzywała go do siebie.

— Ale pani Dulaurens nie pozwoliła mu odejść.

— Rzeczywiście, dzielnym? — powtórzyła z pewnem niedowierzaniem. — I cóż on takiego zdziałał?

— Jakto, nie słyszałaś pani nic o bitwie pod Andribą, w której jego męstwo przechyliło szalę zwycięztwa na naszą stronę?

— Jesteś pan pewnym tego?

— Ależ naturalnie! Imię Marcela Guiberta jest dziś znanem w całej Francyi!

Było to widoczną przesadą, bo Francya zamiast głosić sławę swych dzieci, ukrywa ją, ale w każdym razie wrażenie było niezmierne. Pani Dulaurens zbliżyła się natychmiast do matki sławnego syna. Nawet ubóstwo wdowy stawało się teraz interesującem.

— Kapitan wraca dziś wieczorem, nieprawdaż pani? — zaczęła uprzejmie. — Z jakiem zajęciem śledziliśmy wszyscy bieg okropnej wojny, w której syn pani tak się wsławił! Serca nasze przepełnione są podziwem dla młodego bohatera! W dziennikach były obszerne sprawozdania bitwy pod Andriba i chlubne wzmianki o jego męztwie i odwadze!

Za żoną stał poważny i uroczysty pan Dulaurens i na znak swego zadowolenia kiwał nieustannie głową. Skromny ten człowiek, o bystrem pojęciu, zrozumiał od razu całe położenie rzeczy, podczas kiedy Klemens Dulaurens, ośmnastoletni, wytworny dandy, słuchał wynurzeń matki z niekłamanem żdziwieniem i pociągając potajemnie za rękaw Jana Berlier, szepnął mu z uśmiechem:

— No, trzeba przyznać, że mama zna się na rzeczy. Oprócz kilku powieści i żurnali nie czyta przez cały rok nic — chyba jeszcze kronikę skandaliczną w Gaulois. Jak mogła spamiętać to nazwisko? Ja — ba, ja jestem zupełnie inny! Pamiętam wszelkie nazwiska, chociażby najtrudniejsze! To jest mój sport, bo o wojnie samej żadnego nie mam pojęcia. Słuchaj pan: „Aukerramadinika!" No i cóż?

Pani Guibert czuła się niezmiernie zmieszaną uwagą, jaką teraz całe towarzystwo na nią zwracało. Tak jak jej skromne ubranie żałobne, nie upiększone wcale nowym kapeluszem, stało w rażącej sprzeczności z jasnemi i wytwornemi toaletami wszystkich pań, tak myśli jej i uczucia nie miały nic wspólnego z myślami i uczuciami wesołego i śmiejącego się towarzystwa.

Panie tymczasem i panowie zbliżali się do niej i każdy uważał sobie za obowiązek powiedzenia jej kilka serdecznych i uprzejmych słów. Po pani Dulaurens przyszła pani Orlandi, włoska hrabina, która z resztkami dawnego bogactwa, z wspomnieniami minionych tryumfów swej piękności i z roztrojonemi nerwami, zamieszkała na starość w Chambery.

Ale pan Marthenay, porucznik dragonów, patrzał, rozmawiając z panią Guibert, przez swoje szkiełko z taką na nią ciekawością, że graniczyło to już z impertynencyą. Biedna kobieta zarumieniła się i odpowiadała mu nieśmiało, a nawet pokornie, co znów niezmiernie Paulę gniewało. Stała ona obok matki, wyniosła i dumna, nie zważając na uprzejmość, jaką jej okazywały dwie młode dziewczyny: Izabella Orlandi, trochę przesadzona i pozująca na wielką damę, i jasnowłosa Alicya Dulaurens, miła, naturalna, o twarzy łagodnej, zdradzającej prawdziwą dobroć serca.

Głos Alicyi był miękki i sympatyczny, i każde słowo, wychodzące z jej ust, brzmiało słodko i dźwięcznie.

— Brat pani przyjeżdża! — mówiła z uśmiechem. — Jakże się pani cieszyć musi! Nie widziałam go od kilku lat! Przypominasz sobie czasy, kiedy bawiliśmy się razem w Maupas, albo w La Chenaie?

— O tak, — odrzekła Paula, — ale to już dawno temu, a teraz nie bawimy się......... W naszym ogrodzie jest za mało, a w waszym za wiele porządku!

— Czemu pani nie bywasz u nas? Musisz nas przecież raz odwiedzić!

Daremnie pytała się Paula w duszy, czemu jej przyjaciółka lat dziecięcych, z którą życie zupełnie ją rozłączyło, teraz nagle z taką uprzejmością do niej się zbliża? Spojrzała na swoją własną skromną czarną suknią i podziwiała bez zazdrości jasno niebieski kostyum Alicyi, przybrany kosztownemi koronkami, jej białą szyję i śliczną główkę, o delikatnej, różowej twarzyczce. I mimowoli szepnęła z zachwytem:

— Jak piękną pani jesteś!......

Gorący rumieniec pokrył twarz Alicyi. Cofnęła się nieco, aby ustąpić jakiemuś podróżnemu i Paula zauważyła, że nawet ten ruch, lekki i niedbały, był pełen wdzięku i wytworności. Tak, Alicya uroczem była dzieckiem, wobec którego Paula tem więcej miała przeświadczenia o swem zdrowiu i energii.

— Nie ja, nie........ Pani jesteś piękną, — odrzekła Alicya z słodkim uśmiechem.

Łoskot nadjeżdżającego pociągu przerwał wszelkie rozmowy. Całe towarzystwo wybiegło szybko na peron. Państwo Dulaurens i znajomi ich szukali wagonów pierwszej, klasy, znajdujących się daleko po za peronem, przybyli zaś podróżni spieszyli do poczekalni.

Jednym z najpierwszych był młody mężczyzna wysoki, szczupły, prosty jak trzcina o dumnie podniesionej głowie. W ręku miał pałasz w zielonej pochwie. Zaledwie spostrzegł panią Guibert, przybiegł do niej i porwał ją w objęcia.

— Mój syn! Mój drogi Marceli! — szeptała uszczęśliwiona, i zapominając o całym świecie, głośno płakać zaczęła.

Marceli raz jeszcze przycisnął matkę do serca, poczem cofnął się i wzruszony, patrzał na tę starą kobietę, której cała powierzchowność świadczyła o cierpieniu i ciężkich doświadczeniach. Twarz jego harda, opalona, prawie bronzowa, przybrała nagle wyraz głębokiego rozrzewnienia. To samo imię którego nie potrzebowali wymawiać, drżało im na ustach, to samo serdeczne wspomnienie przepełniało ich serca. Radość zobaczenia się zbudziła w nich dawny żal z podwójną siłą.

Paula patrzała z niezmierną czułością na matkę i brata. Izabela i Alicya, stojące już przed wagonem obejrzały się i patrzały na tę scenę powitania. Spojrzenie Alicyi spoczywało z niekłamaną sympatyą na młodym oficerze, podczas kiedy Izabela z szyderczym uśmiechem patrzała na panią Guibert, której ociężałość i niezręczność wzruszenie jeszcze więcej uwydatniało.

Jan Berlier stał dotąd na stronie i teraz dopiero zbliżył się do Pauli.

— Jacy oni szczęśliwi! — rzekł. — A mnie — gdy wrócę z Algieru, nikt na dworcu oczekiwać nie będzie!

Marceli zwrócił się do siostry i uścisnął ją serdecznie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

(Przedruk wzbroniony.)

Trzy miesiące fortecy.

5)

Opowiedział Ks. N. N.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Kilka dni przed swoim wyjazdem przychodzi pan K. do mnie — poradzić się. Powiada mi, że myśmy go traktowali jako *„kavalerie“* — chciał powiedzieć jako kawalera — nobliwego człowieka, i dlatego chciałby się nam wywdzięczyć i wyprawić pożegnalną wieczerzę.

„Byłem już w kantynie — mówi — i zamówiłem *„etwas ganz was feines,“* coś nadzwyczajnego, — bo sznycel wiedeński, a do niego ciepłe kartofle i kompot z jabłek, *das Couvert 1 mk. pro Person,* nakrycie po marce! Staram go się odwieść od zamiaru wydania tej stypy, przekładam, że starczy, gdy da przekąskę i piwa, lecz daremnie. Odpowiada mi: mój panie, wiem co się należy, u nas pierwszy lepszy daje przekąski, a mi starczy na sznycle.

XI. Imieniny matki, imieniny ks. Bronisława.

Nadszedł 25-ty sierpnia, dzień imienin ukochanej matki. Dotąd osobiście składałem jej swe życzenia. Straciłem przedwcześnie ojca, więc tem goręcej i serdeczniej przywiązałem się do matuli mojej, która nie szczędziła zabiegów, aby mnie dobrze wychować; dziś nie mogłem jej rąk ucałować i zapewnić znowu o wdzięczności i przywiązaniu. Wróciłem z kościoła i myślę o matuli, w duchu jestem u jej stóp. Siedzę tak zadumany, a tu naraz drzwi się otwierają — i wchodzi moja matka z siostrą. Oczom nie wierzę, matka się do mnie zbliża i tuli mnie do siebie. I teraz całuję tę rękę ukochaną, która mnie tak szczęśliwie przeprowadziła do celu, składam głowę swą przy jej sercu, przy tem sercu, które mnie tak bardzo ukochało. Zaiste, dzień 25-go sierpnia, to dzień najszczęśliwszy, jaki spędziłem w fortecy.

Trzeciego września przypadają imieniny ks. Bronisława. Już dawniej pytałem go, lecz nie chciał powiedzieć, czy obchodzi Bronisława, czy też Brunona. Ale sięgłem po rozum do głowy. Przecież rodzice tak zacnego syna, a nadto Kościaniacy, którzy znani są na całe Księstwo z patryotyzmu, nie szukaliby zapewne gdzieś tam św. Brunona z Querfurtu, Niemca, synowi swemu za patrona, i zgadłem. Ks. Broniś ma imieniny 3-go września. Nie miało się to rozgłosić na fortecy, lecz wypadało powiedzieć o imieninach przynajmniej naszym sąsiadom, panu F. i p. R. — Ci mając urlop we wigilią, wybrali się do lasu i narwali różnych kwiatów pęk cały. Nadto dokupiliśmy trochę róż i gwoździków. Wieczorem zabraliśmy się do wicia dwóch potężnych bukietów, które nam się wcale udały. Także krzesło przeznaczone dla solenizanta ubraliśmy wieńcem z myrt i róż; miała to być niespodzianka dla kochanego Bronisia. Na drugi dzień wstaliśmy już przed 5-tą rano. Pan R. i ja chwytamy za wazony z bukietami t. j. dzbany do wody, w któreśmy powkładali bukiety, bierzemy je przed siebie, zupełnie jak żołnierz broń, a p. F. z krzesłem ustawia się w środku. W tem przypomina nam się, że mamy przecież muzykę. Pan F. postawia krzesło, jednym susem jest w swojej izbie — pospiech konieczny, bo ks. Broniś rychły ptaszek już pokutuje w swojej celi — wynosi „muzykę domową“ — fonograf — na sień, nastawia na marsza Radeckiego, kapela zaczyna grać, jeszcze raz: baczność — i jak żołnierze z pod Sedanu wkraczamy dumni ze swego dzieła nie już do Paryża, lecz cokolwiek bliżej na Wisłoujściu do celi więziennej Nr. 30, zamieszkałej przez ks. Bronisia. Pan F. postawia krzesło na środku izby, sadza nań na wpół ubranego Bronisia; my prezentujemy przed solenizantem — dzbany z kwiatami, stawiamy je na stole i zaczynają się życzenia, żeby forteca pozostała na długo w miłej pamięci i zaostrzyła ducha.

Wnet gruchnęła wieść o imieninach ks. Bronisia. I ot, po jego powrocie z kościoła kolejno się zjawiają „Gabrielchen mit nem scheenen Glückswunsch an das Geburtstagskind,“ Otto, garson z kantyny, ordynans, a nawet baba roznosząca gazety, puka i tonem nosowym także życzy. Wszyscy odchodzą — zadowoleni, bo obdarzeni dobrym napiwkiem. A i my mamy dziś, jak Niemiec mówi, „dobry dzień“, bo ks. Bronisław zaprasza nas na obiad i na kawę wielką imieninową o 4. po południu. Ma być solenna kawa, bo zapowiedzieli się znajomi z Nowego Portu, proboszcz z siostrami i radcostwo D. z Brzeżna. Moją izbę jako największą w koszarach przeznaczamy na jadalkę i salon. Trzeba ją ubrać jaknajwspanialej, aby solenizant i goście zapomnieli, że są na fortecy. Ale czem ją wystroimy?

Zielenią ma się rozumieć. Przecież roślin na wałach dosyć — nie kosili jeszcze trawy, która wybujała i już się pokłada, bo podobno jeszcze nie nadszedł dzień w kalendarzu na to przeznaczony — a i drzewa stoją: kasztany, jesiony, lipy i małe dęby więc mamy materyału dosyć. Pan R. wchodzi na drzewo i spuszcza gałązki, pan F. i ja rwiemy — kwiaty. Mamy już całą kupę tego, dalejże teraz do pracy. W celi mej znajdują się dla ściągania wilgoci w ścianach pod sufitem w odstępach równych wentyle, lecz nie arcydzieła czasem techniki, nie, tak sobie po polsku powiedziawszy: dziury okrągłe. Nie potrzeba nam się mozolić. Zarząd forteczny postarał się sam widocznie o ułatwienie nam pracy, utykamy gałązki w tych otworach. Tu lipa się zwiesza, tam dębina, a między tą zielenią widać oset, nie mamy głogu niestety, ale i oset kolczaty, ostry i nieraz kole żniwiarza. A przecież i droga ks. Bronisia nie była drogą róż tylko, nieraz była kolcami zasłaną. I dziś ma oset uzmysławiać kaźń forteczną bądź co bądź przykrą zwłaszcza dla człowieka wiekowego. Białe kwiatki, tu i owdzie, to wesołe chwile w życiu, zieleń zaś obfita, to nadzieja lepszego bytu. Widzicie państwo, że nie działamy tak zupełnie bezmyślnie. Szpeci jeszcze celę niski piec, lecz i temu złemu zaradzamy, nakrywając piec pokaźną gałęzią kasztana. Wreszcie rozstawiamy na stole filiżanki, talerzyki i przygotowania skończone. Nadchodzi 4. godzina. Jak dzieci na skręt drogi biegną, aby zobaczyć czy oczekiwani goście już jadą, tak i my na bastyon I. dążymy, skąd mamy widok na rozstajne drogi. Patrzymy — idą od We-

sterplaty. Wołamy o kawę, a tu stara Gabryela odświętnie ubrana już się z dzbanem kawy kołysze. Siadamy do kawy. Wesoło nam, zwłaszcza, że pan D. urodzony na Kaszubach, i władający dobrze językiem polskim, a może i Polak, bawi dowcipami całe towarzystwo. Wedle zwyczaju niemieckiego pijemy jednę, drugą, trzecią i czwartą bombę — na fortecy patroną zwaną — kawy. Po kawie pijemy zdrowie solenizanta. Rozbawione towarzystwo rozpędza dopiero pan feldwebel, przychodzący zamknąć koszary.

XII. *Wyjazd ks. Bronisława. Odwiedziny w Gdańsku.*

Już tylko kilka dni, a ks. Bronisław wyjedzie. Ostatni dzień nadszedł. Wziąłem urlop wielki wyjątkowo od 5—10 wieczorem, aby się udać z ks. Bronisławem, już na wolności będącym, do Gdańska do ks. B., proboszcza przy królewskiej kaplicy, który nas zaprosił na wieczerzę. Miły to księżyna i nie taki sztywny jak inni jego koledzy Niemcy. Cieszyłem się na te odwiedziny nie tyle dla tego, że kilka chwil spędzę w towarzystwie księży gdańskich, ile że zobaczę w mieszkaniu ks. B. obraz olejny oryginalny naszego Jana Sobieskiego współfundatora królewskiej kaplicy. Obraz ten pochodzi zapewne z początku panowania króla Jana. Wpatruję się w tę twarz wyrazistą, w tę postać tryskającą siłą i męstwem: to zwycięzca z pod Wiednia. Myśl mi błysła gorzkiego wyrzutu dla tego wojownika. O, gdybyś ty, królu, był wieszczem, nie dałbyś się unieść porywom szlachetnym i nie pospieszyłbyś Wiedniowi z odsieczą, nie byłbyś tak życzliwym sąsiadowi! Pożegnałem się z księdzem Bronisławem i wróciłem na fortecę; byłem teraz sam.

XIII. *Pan F.; wycieczka na morze, nasza kuchnia.*

Mieszkało nas teraz dwóch tylko w koszarach: pan F. i ja. Byliśmy wskazani na siebie, i zaprzyjaźniliśmy się, o ile można mówić o przyjaźni między dwoma ludźmi o zupełnie odmiennych poglądach życiowych. Już oddawna zapraszał mnie p. F. na wycieczkę morską. Mam urlop i daję się nakłonić. Pan F., siedzący od dłuższego czasu na fortecy, ma nadzwyczajne urlopy i nieraz wyjeżdża na morze we własnej łódce. Udajemy się do przystani; sądziłem, że łódź pana F., to barka a może jacht, lecz nie mało się zdziwiłem, zastając łupinę nieomal.

Wobec tego nie mam wielkiej chęci do przejażdżki, lecz siadam, bo morze jest spokojne. Rozpinamy żagle, już jakie 6000 metrów jesteśmy od brzegu; naraz zaczyna wiatr silnie dąć ,a łódka przechyla się niebezpiecznie na bok. Trzeba krzyżować, manewrujemy żaglami, nadchodzi wielki bałwan jeden i drugi, — wreszcie leje się woda do łódki. Zaczynam się niepokoić. Przekładamy znowu żagiel, łódka się przechyla, a ja spadam pod ławkę. Ledwo się wydostałem, a tu znów dostajemy dawkę wody. Sam pan F. zatrważa się, lecz dobijamy szczęśliwie do brzegu i cieszę się, że tylko przemoczeniem odzieży opłaciłem swą lekkomyślność!

Od dłuższego czasu prowadzimy z panem F. kuchnię wspólną, przygotowujemy sobie sami śniadanie, wieczerzę, a czasem i obiady. Nasza kuchnia, to stół wielki, ustawiony pod oknem, na sieni w koszarach. Na stole stoją dwie maszynki spirytusowe t. zw. „selbstkocher“, skrzynka wyłożona sianem, w której potrawy zagotowane się dogotowują, talerze, talerzyki, miski, miseczki, pudełko z korzeniami, tarka, rondle, maszynka do mięsa. Z początku nie wiele mógłem pomódz panu F., lecz nie trwało długo, a był ze mnie zadowolony. Przydało mi się wielce doświadczenie, nabyte w gotowaniu w seminaryum duchownem.

Ks. Bronisław przysyła nam paczkę, otwieramy ją i oczom nie wierzymy: mamy całego rogacza, 2 czwartki i cąber. Co z tem zrobić? — Pan F. tak rozporządza: Z jednej czwartki mamy obiad, z cąbra dwa, a drugą czwartkę zamarynujemy. Byłem ciekaw, co z tego będzie. Pan F. zabiera się do żyłowania, podziwiam jego zręczność; ubija czwartkę i zaczyna ją piec; mogę zapewnić, że smakowała znakomicie tak samo jak i druga zamarynowana. Takim sposobem mieliśmy, dzięki ks. Bronisławowi, kilka znakomitych obiadów i wieczerzy — gratis.

XIV. *Mój wyjazd.*

Wreszcie nadszedł ostatni dzień pobytu we fortecy. Był to piątek; odprawiłem ostatnią mszą św. jako więzień forteczny, dziękując Najwyższemu, że już się kończy bezczynność a zacznie znowu zbożna praca parafialna. Spakowałem już wszystko, zamykam walizkę, a tu wchodzi kościelny z Nowego Portu z bukietami od Polaków tamtejszych. Ucieszyłem się bardzo i przyjąłem te kwiaty ze łzą w oku.

Piąta godzina po południu! Witaj wolności ukochana i tak bardzo pożądana od dawna! Ścisnąłem dłoń pana F. po raz ostatni i ruszam w towarzystwie ordynansa, który mi walizkę niesie, do Nowego Portu. Kilka godzin tylko jeszcze, a stanę na Kujawach przed kościółkiem, w którym byłem pasterzem przez kilka miesięcy — za co dostały mi się w udziale 3 miesiące fortecy!

(Koniec.)

LUDWIK STEVENSON.

Wyspa skarbów.

15 **Przekład z angielskiego.**

(Ciąg dalszy).

— No, — rzekł doktor — może się ułożymy . Układaliśmy się więc, on i ja, i oto znaleźliśmy się tutaj. Prowianty, wódka, blokhauz, opał, który tak przezornie nagromadziliście i by się tak wyrazić, cała buda od szczytu do podstaw, wszystko nasze. Oni zaś wynieśli się i niech mię piorun spali, jeżeli wiem, gdzie są.

Pociągnął znowu spokojnie z fajki.

— A żebyś nie myślał przypadkiem — ciągnął dalej — że zostałeś także objęty umową, oto były nasze ostatnie słowa:

— Ilu was ma wyjść? — zapytałem.

— Czterech — odparł — czterech ,jeden ranny. Co zaś do tego chłopca, nie wiem gdzie jest, bierz go licho — powiada — mniejsza zresztą o niego. Dokuczył on nam dosyć. — Oto, co powiedział.

— Czy to wszystko?

— Tak, wszystko mój synu — odparł Silver.

— A teraz mam wybierać?

— A teraz masz wybierać, bez wątpienia — powtórzył Silver.

— Dobrze — odparłem .— Nie jestem tak ograniczony i wiem dobrze, czego się mam spodziewać. Lecz choćby mię czekał najgorszy los, nie dbam o to. Oswoiłem się już ze śmiercią od czasu, jakem się spotkał z wami. Ale chcę

wam pierwej powiedzieć coś — mówiłem, zapalając się coraz bardziej.

— Po pierwsze: źle jest z wami. Okręt straciliście, skarbu nie macie, ludzi wam powytracano. Całe wasze przedsięwzięcie na nic. A wiecie, kto to sprawił? ja! To ja ukryłem się w beczce z jabłkami tej nocy, kiedyśmy raz pierwszy ujrzeli ziemię i podsłuchałem twoją rozmowę, Johnie i twoją, Dicku Johnsonie i Hands'a, który leży tam na dnie morza — i powtórzyłem wszystko moim przyjaciołom. To ja zabrałem wam statek, przeciąłem linę kotwiczną, zabiłem ludzi, których zostawiliście na pokładzie i zaprowadziłem okręt tam, gdzie go już nigdy nie znajdziecie. Doprawdy, śmiech mię bierze, patrząc na was!... To ja kierowałem wszystkiem od początku, a wyście nic nie podejrzywali. Boję się was nie więcej od mściwej muchy. Zabijcie mię, jeśli chcecie, albo oszczędźcie. Nie odezwę się już do was ani słowa, ale jeżeli mię oszczędzicie — co było, przeszło, a gdy dostaniecie się nakoniec w ręce sprawiedliwości, uczynię co będę mógł, by was ocalić. Teraz wy wybierajcie! Moja śmierć nie przyniesie wam żadnego pożytku, ale jeżeli darujecie mi życie, zachowacie sobie świadka, który może ochroni was przed szubienicą.

Umilkłem, żeby zaczerpnąć tchu. Patrzałem ze zdziwieniem, iż żaden z nich nie ruszył się. Wszyscy spoglądali na mnie z wytrzeszczonemi oczyma, jak stado baranów. Po chwili więc zacząłem znowu.

— Mister Silver — rzekłem — pan tu jesteś jeszcze najporządniejszy. Jeżeli zginę, bądź pan łaskaw, powiedz doktorowi, w jaki sposób przyjąłem twoją propozycyę.

— Nie zapomnę — odparł Silver tonem tak dziwnym, że nie wiedziałem czy drwi ze mnie, czy też wzruszyła go moja odwaga.

— Ja także wtrącę słówko — krzyknął stary majtek o pergaminowej twarzy, którego widziałem w kawiarni Silvera w Bristolu. — To on poznał Czarnego Psa.

Tak — dodał kucharz — a ja powiem coś jeszcze, do kroćset! To on także porwał mapę z kufra Billy Bonesa. Od początku do końca Jim Hawkins miesza nam wszystkie szyki!

— A więc niech zginie — zawołał Morgan, z głośnem przekleństwem. I podskoczył ku mnie z wydobytym nożem, tak szybko, jakby miał lat dwadzieścia.

— Precz stąd! — krzyknął Silver. — A któż ty jesteś, Tomie Morgan?! Może myślisz, że ty tu jesteś kapitanem, co? U pioruna, ja cię nauczę! Sprzeciw mi się tylko, a poszlę cię tam, gdzie poszło wielu przed tobą w ciągu ostatnich trzydziestu lat naszej znajomości, jedni prędzej, drudzy później, a wszyscy na pokarm rybom! Nikt jeszcze, kto mi wszedł w drogę, nie wyszedł na tem dobrze, Tomie Morgan, wszak się znamy!

Morgan umilkł, ale inni zaczęli szemrać głucho.

— Tom ma słuszność — rzekł jeden.

— Dość już długo jeżdżono po mnie! — dodał drugi. — Niech wiszę, jeśli się ulęknę ciebie, Johnie Silver.

— Czy który z panów chce mieć do czynienia ze mną — ryknął Silver, zeskakując ze swojej beczki z żarzącą się jeszcze fajką w ręku. — Któryż to? Niech powie! No, oniemieliście chyba wszyscy? No, czekam. Który chce pierwszy oberwać? Czyż po to żyłem tyle lat, by taki psi syn, pierwszy lepszy pijaczyna urągał mi bezkarnie! Wszak znacie sposób. Jesteście wszyscy rycerzami losu. Jestem gotów. Ale ostrzegam, kto pierwszy wyjmie nóż, ten niech się lepiej pożegna z tym światem!

Nikt się nie poruszył, nikt nie odpowiedział.

— Tacyście to wy! — dodał drwiąco, biorąc fajkę do ust. — Doprawdy śmiech patrzeć na was! To mi wojownicy! Może rozumiecie po angielsku, co? Jestem tu kapitanem z wyboru! Jestem kapitanem, ponieważ jestem najwięcej wart z was wszystkich. Nie chcecie się bić, jak przystało na rycerzy losu, a więc do pioruna! Będziecie słuchać! i ani pary z ust! Lubię tego chłopca. To dzielny malec! On jest więcej mężczyzną, niż ktokolwiek z was, tchórze! A teraz wam powiadam: Kto pierwszy go palcem tknie, zobaczy!

Nastąpiła długa cisza. Stałem tuż przy ścianie, serce mi biło ciągle, jak młotem, ale płomień nadziei błysł mi w duszy. Silver oparł się o ścianę i stał z rękami założonemi, z fajką w kącie ust, spokojny i obojętny, jak gdyby się znajdował w kościele, ale z pod oka śledził bacznie wszystkie poruszenia swych niesfornych podwładnych. Oni zaś jeden po drugim cofnęli się w głąb sali i poczęli się naradzać. Przytłumiony syk ich szeptu brzmiał mi nieustannie w uszach, jak bełkot strumyka. Jeden po drugim podnosił chwilami głowę, a czerwone światło pochodni drgało przez chwilę na ich nerwowych twarzach. Ale nie ku mnie, ku Silverowi biegły ich spojrzenia.

— Zdaje się, że macie mi dużo do powiedzenia — zauważył Silver, spluwając daleko. — Owszem, gadajcie prędzej, niech usłyszę.

— Wybacz, kapitanie — odezwał się jeden z korsarzy — ale trochę sobie lekko traktujesz niektóre prawa, może będziesz łaskaw pilniej przestrzegać innych. Załoga jest niezadowoloną... załoga nie lubi, aby nią pomiatano, jak pękiem starych lin... Załoga ma swoje prawa, jak wszystkie załogi, ośmielę się przypomnieć ci, sir. Ty sam nadałeś nam statut i wedle niego mamy prawo naradzać się. Z przeproszeniem więc pańskiem, sir, ponieważ jesteś jeszcze naszym kapitanem, korzystając z przysługującego nam prawa, wyjdziemy, aby się naradzić.

I skłoniwszy się po marynarsku, majtek, chudy i długi, o złośliwej twarzy, żółtooki mężczyzna lat trzydziestupięciu, skierował się spokojnie ku drzwiom i wyszedł pierwszy. Pozostali, jeden po drugim, poszli za jego przykładem. Każdy kłaniał się w przechodzie, rzucając jakieś słowo uniewinnienia. — Zgodnie z prawami — rzekł jeden. — Schadzka na przodzie okrętu — powiedział Morgan. Wreszcie wyszli wszyscy i w izbie pozostaliśmy tylko Silver i ja, przy blasku gorejącej głowni.

Kucharz okrętowy natychmiast wyjął fajkę z ust.

— Słuchaj, Jim Hawkins — zaczął szybkim i cichym, ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Jesteś o włos jeden od śmierci, a co gorsza, grożą ci tortury. Chcą mnie zrzucić z kapitaństwa. Ale uważaj, ja cię nie opuszczę w złym, czy dobrym razie. Może inaczej myślałem, zanim pomówiłem z tobą. Byłem zrozpaczony złym obrotem sprawy i perspektywą szubienicy w dodatku. Ale widzę, żeś ty zuch. Powiedziałem sobie: Nie opuścisz Hawkinsa, Johnie, a Hawkins nie opuści ciebie. Ty jesteś ostatnim jego atutem i u pioruna! Johnie, on jest również ostatnim twoim!

— Ręka rękę myje, powiadam. Ty ocalisz sobie świadka, a on ochroni cię od szubienicy!

Zacząłem rozumieć.

— Myślisz, że wszystko stracone? — zapytałem.

— Tak, niestety! — odparł. — Okręt dyabli wzięli, szyję wezmą — ot, jak rzeczy stoją.

Skoro tylko spojrzałem na zatokę i widzę — nie ma okrętu, oho! pomyślałem sobie, źle, przegrana sprawa! Co zaś do tamtych ich narady, nie bój się, znam ja ich, to durnie i tchórze. Ja ocalę cię przed nimi. Ale pamiętaj Jim,

piękne za nadobne. Gdy przyjdzie czas, postaraj się, abym nie dyndał na stryczku!

Byłem oszołomiony. Żądanie jego wydawało mi się tak niezwykłe, tak beznadziejne. On, stary korsarz, arcyherszt wszelkich zbrodni, spodziewał się przebaczenia!

— Co będę mógł uczynić, uczynię — rzekłem.

— A więc układ zawarty! — zawołał Długi John. — Trzymaj się tylko, chłopcze, śmiało! a ja zagram jeszcze jedną stawkę.

Poszedł utykając do głowni, utkwionej pomiędzy drzewem opałowem i zapalił fajkę.

— Zrozum mię, Jim — rzekł do mnie, wracając. — Wszak nie dla proporcyi noszę głowę na karku? Co? Jestem teraz po stronie Esquire'a. Wiem, że ukryłeś ten okręt gdzieś w pewnem miejscu. Jak to uczyniłeś, nie wiem, ale mniejsza o to. Domyślam się, że ten Hands i O'Brien musieli palnąć jakieś głupstwo. Nigdy nie dowierzałem im zbytnio. Teraz uważaj, co ci powiem. Nie pytam o nic i sam też nic nie powiem. Wiem, kiedy gra jest przegrana i znam się na znakach. Ach Jim, szkoda, że cię wcześniej nie poznałem! Z twoją młodością dokazalibyśmy moc dobrego!

Utoczył z beczki trochę koniaku do kubka cłowianego.

— Chcesz, towarzyszu? — zapytał — a gdy odmówiłem — ale ja wypiję kapkę, Jim — rzekł. — Potrzebuję dodać sobie sił, bo oto burza się zbliża. Ale nie wiesz czasem, dlaczego doktor oddał mi mapę wyspy, Jim?

Na tę wiadomość twarz moja wyraziła takie głębokie i nieudane zdziwienie, że nie pytał więcej.

— Ach, tak, oddał mi ją — powtórzył.

— Coś w tem jest, bez wątpienia, z pewnością coś się w tem kryje, Jim, — coś złego, czy dobrego.

Łyknął jeszcze haust wódki, potrząsając swoją dużą, jasną głową, jak człowiek, który spodziewał się najgorszego nieszczęścia.

ROZDZIAŁ XXIX.

Czarna marka znowu.

Narada korsarzy trwała już czas jakiś, gdy jeden z nich wrócił do izby i z tym samym ukłonem, który w mych oczach zakrawał na ironię, poprosił o pożyczenie na chwilę pochodni. Silver zgodził się krótko i wysłaniec oddalił się, pozostawiając nas w ciemności.

— No, burza nadchodzi, Jim — rzekł Silver, przybrawszy ton poufały i przyjacielski.

Wyjrzałem przez najbliższą strzelnicę. Wielkie gnisko dopalało się już prawie, a płomień jego był tak niski i ciemny, iż zrozumiałem, dlaczego spiskowcom potrzebną była pochodnia. Siedzieli całą gromadą w pośrodku wzgórza. Jeden trzymał światło. Drugi przyklęknął pomiędzy nimi, a w ręku jego brzeszczot otwartego noża mienił się różnobarwnie w świetle księżyca i pochodni. Inni siedzieli z pochylonemi nieco głowami, jakby śledząc bacznie jego uchy. Potem dostrzegłem, że oprócz noża miał także książkę w ręku, i nie mogłem jeszcze wyjść ze zadziwienia, skąd rzecz tak niebywała znalazła się w ich posiadaniu, gdy klęczący powstał i wszyscy skierowali się ku domowi.

— Już idą — rzekłem, wracając pod ścianę, gdyż uważałbym za ubliżenie mej godności, gdyby spostrzegli, żem ich podglądał.

— Niech idą, chłopcze, niech idą — odparł Silver wesoło. — Mam jeszcze jedną strzałę w zanadrzu.

Drzwi się otwarły. Pięciu korsarzy stanęło w progu, tłocząc się bezładnie i wypychając jednego z pomiędzy siebie naprzód. W zwykłych okolicznościach śmiesznie byłoby patrzeć, jak duży ten drab kroczył powoli i niepewnie, przestępując z nogi na nogę i wyciągając przed siebie silnie zaciśniętą rękę prawą.

— Śmiało, chłopcze! — krzyknął Silver.

— Nie zjem cię przecie! Wręcz, co masz wręczyć. Znam prawa i nie wyrządzę nic złego delegatowi.

Tak ośmielony korsarz zbliżył się szybko i wsunąwszy coś Silverowi do ręki, cofnął się jeszcze szybciej ku swoim towarzyszom.

Kucharz okrętowy spojrzał na to, co miał w ręku.

— Czarna marka! Tak też myślałem — dodał. — Ale gdzieżeście wzięli papier? A! wiem już! Ach to źle, to bardzo źle. Wycięliście kartkę z biblii. Któryż to osioł pociął biblię?

— Ach! tak, tak! — wtrącił Morgan. — Czyż nie mówiłem? Nic dobrego stąd nie wyniknie!

— No! nawarzyliście sobie piwa! Teraz będziecie wisieć, ani chybi! Któryż to bałwan miał biblię?

— Dick — odezwał się ktoś.

— Dick? W istocie? A więc niech pisze swój testament! Już się ty od swego losu nie wykręcisz, Dick, bądź spokojny.

Tu wmieszał się wysoki majtek z żółtemi oczyma.

— Dość tej paplaniny, Johnie Silver — rzekł. — Załoga wręczyła ci czarną markę, na pełnej radzie, jak każe statut. Obejrzyj więc ją, zgodnie ze statutem, i zobacz, co tam napisano. Potem będziesz mówił.

— Dziękuję, Jerzy — odparł kucharz okrętowy. — Byłeś zawsze szybkim w interesach i widzę z przyjemnością, że umiesz prawa na pamięć. No, zobaczymy, co tu stoi. Ach! „usunięty!“ ot co! A jakie ładne pismo! czysty druk! na honor. Czy to nie ty przypadkiem pisałeś, Jerzy? No, widzę, że zaczynasz rej wodzić w tej załodze! Nie zdziwiłbym się, gdyby cię obrano kapitanem przy najbliższej sposobności. A tymczasem, bądź łaskaw, podaj mi pochodnię, fajka jakoś nie chce się palić.

— Czekaj — rzekł Jerzy — nie będziesz już więcej durzył załogi! Wiemy, żeś ty żartowniś, ale minęło twoje panowanie. Zejdź lepiej z beczki i weź udział w głosowaniu na nowego kapitana.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

U Anglików są w modzie teraz wysokie kobiety.. Dziwne! Jabym tam nie chciał, żeby mi żona przerastała ponad głowę!

— Ładny tu u ciebie w kuchni porządek: pajęczyny jak firanki!
Wstydź się!
— Jak to pani zaraz zobaczyła!... A czemu pani się nie wstydzi, że w salonie u pani firanki jak pajęczyny?

— Widzisz! moja mama ma 50 lat, a ma wszystkie zęby!
— A moja ma 55, a ma aż dwa garnitury zębów!

W. Sulicki

POZNAŃ, Plac Wilhelmowski nr. 10.
Telefon 1725. 41

Skład futer, kapeluszy i fabryka czapek.

Polecam w wielkim wyborze **futra męskie i damskie, kołnierze, garnitury dla dzieci, czapki futrzane, mufki do polowania, koce, kieszenie do nóg, dywaniki** i wszelkie wyroby w zakres kuśnierstwa wchodzące. **Zamówienia na futra męskie i damskie, kabatki, także rewerendy futrzane** dla Przewielebnego Duchowieństwa, wykonuję podług miary, pod osobistem kierownictwem w najnowszych fasonach i gwarancyą dobrego leżenia, również **reparacye** uskuteczniam szybko i tanio.

Także polecam:
kapelusze, cylindry, szapoklaki i kapelusze dla chłopców z pierwszorzędnych fabryk światowych.

Obuwie 493



zimowe męskie, damskie i dla dzieci w skromnym i jak najwięcej eleganckim wykonaniu. Również **kalosze prawdziwe ruskie** poleca w wielkim wyborze po znanych tanich cenach

M. Szymański, mistrz szewski.
Skład i fabryka obuwia.
Poznań, ul. Wrocławska 38.

Długie buty **do polowania** i do gospodarstwa zawsze na składzie.

Przyjmujemy kapitały w **depozyt** i płacimy 5% od depozytów z **rocznem** wypowiedzeniem.
4½% „ z półrocznem „
4% „ z kwartalnem „
3½% „ z każdorazowem „

Procenta obliczamy od następnego dnia po dokonanej wpłacie i **wypłacamy lub dopisujemy 2 razy rocznie na 1. stycznia i 1. lipca.** 361

Na 1. stycznia r. b. wynosiły

Udziały Spółki naszej . . .	Mk. 761377,11
Fundusz gwarancyjny . . .	„ 1705 00,—
Rezerwy z funduszem emeryt.	„ 492400,04

Spółka Rolników Parcelacyjna

Poznań — Posen.
J. Kużaj. Wł. Kaczmarek. J. Palędzki.

Zakład dentystyczny

Leon Nowicki, Poznań, plac Piotra 2,
drugi dom od ulicy Wrocławskiej. (20

Wielki wybór. Ceny nizkie.

Na Gwiazdkę!

Kalendarze książkowe, kartkowe, podkładkowe, ścienne i kieszonkowe.
Albumy do fotografii, kart pocztowych, poezyi
Kałamarze i przybory do pisania.
Listowy papier w najnowszych deseniach.
Skórzane i galanteryjne towary. Teki do pisania. Teki do nut.
Etuis do cygar i papierosów. Portmonetki, notesy.
Pudełka i przybory do preferansa, karty do grania.

Dla dzieci. Szkólne przybory. Książki z wierszykami i obrazkami. Farby i książeczki do malowania. Gry i zajęcia Froeblowskie.

Antoni Rose

Poznań-Bazar. Telef. 381.

J. & S. SKĄPSKI

(dawniej **K. Kużaj**) 40

Telefon 259. **Poznań, ul. Wrocławska 13.** Telefon 259.

2-gi skład Stary Rynek nr. 44, narożnik ulicy Butelskiej.





Na sezon jesienno-zimowy
polecamy nasz bogato zaopatrzony

Skład
garderoby męzkiej i dla chłopców.

Ubrania, paltoty, kożuchy, spodnie i t. d.
wykonane elegancko i trwale z praktycznych i modnych materyałów w olbrzymim wyborze.

Skład sukna,
sprzedaż z łokcia i wysyłka prób.
Pracownia eleganckiej garderoby podług miar.

Futra gotowe i podług miary.
Poszycie starych.

Ubranka dla chłopców i młodzieńców po nadzwyczaj nizkich cenach!

Ogromny wybór kapeluszy w eleganckich fasonach i po cenach nizkich!

Pismo jak „PRACA“ powinno znajdować się w każdym domu szczerze polskim. Abonament kwartalny wynosi na poczcie tylko **1,50 mk.**



Kufry ręczne od 2 do 60 M.
Kufry drewniane od 12 do 70 M.
Kufry trzcinowe od 60 do 110 M.
Torebki ręczne od 1 do 15 M.
Torby do podróży od 2 do 36 M.
Torby z neceserem od od 25 do 230 M.
Torby szkolne, ręczna, rob., od 2,50 do 9 M.
Pudła ruskie do kapeluszy od 3 do 10 M.
Necesery od 3 do 50 M.
Portmonetki, portfele, szelki, koniki, bicze, obroże poleca 93

N. Wolniewicz, Poznań,
siodlarz-kieszeniarz w Bazarze.

C. Ratt, Poznań

ulica Wiktoryi nr. 17, parter i I-sze piętro.
Doskonała fabryka
aparatów do piwa, bilardów i urządzeń [illegible] 492
Premiowana w roku 1904 drugą nagrodą honorową miasta Poznania i złotym medalem.

B. Szulczewski,

ul. Wilhelmowska nr. 11.

Skład porcelany, fajansów, szkła.

Lampy naftowe, gazowe.
Oświetlenie spirytusowe.
Kompletne wyprawy.
Urządzenia hotelowe.
Abażury — Przedmioty galanteryjne.
Pająki do kościołów.
Ampułki. 18

Pomocnik
księgarski, obznajomiony ze sprzedażą materyałów piśm., potrzebny od 1-go Stycznia 1908 r. Również 517
uczeń
z odpowiedniemi wiadomościami szkolnemi przyjęty zostanie **zaraz.** Zgłosz. do Administracyi „Pracy“ pod **A. K. 1772.**

Już opuściło prasę trzecie, poprawione i powiększone wydanie dzieła

Malowniczy Opis Polski

przez **Józefa Chociszewskiego.**
Drukiem i nakładem Księgarni Dziennika Kujawskiego w Inowrocławiu.

Wspaniałe dzieło to, zostało w nowem wydaniu ozdobione **10 tablicami kolorowemi** wyrażającemi wszystkie **typy Ludu Polskiego** podług obrazu Walerego Eliasza.

Nadto zawiera dzieło to **6 obrazów kolorowych** między temi artystycznie wykonany obraz Jana Matejki: Wernyhora

Do nabycia we wszystkich księgarniach po następujących cenach: 506
Egz. broszurowany na zwykłym papierze mk. 3,50.
„ kartonowany „ „ „ „ 4,—.
„ ozdobny oprawny w białoczerwone płótno, na papierze zwykłym mk. 4,50.
„ ozdobny oprawny w białoczerwone płótno, na papierze welinowym mk. 6,—.

Kartofle fabryczne,

do natychmiastowej i późniejszej dostawy, kupuje i uprasza o opróbkowane oferty i udziela zaliczek

Czesław Foerster,
Poznań-Posen O. I,
(Wienerstr. 6, I.) 500

Abonujcie „PRACĘ.“

„PRACA“ kosztuje na kwartał

tylko 1,50 mk.

z odnoszeniem do domu 1,62 mk.

Zamawiać można **„PRACĘ“**, na wszystkich pocztach albo wprost w Administracyi „Pracy.“

„PRACA“ wychodzi co niedzielę w **Poznaniu** i zawiera obok licznych artykułów: powieści, opowiadania, rozprawy pouczające, wiersze, dowcipy, zagadki oraz liczne i piękne **ryciny.** Poszczególne zeszyty **„PRACY“** obejmują 32 strony druku.

„PRACA“ jest ludowem, katolickiem i narodowem pismem.

Administracya **„PRACY“**

= Poznań (Posen) =

Rycerska 38 (Ritterstr. 38.)

P. S. Na żądanie wysela się numery okazowe darmo.

— Dorożka! co dostaniesz ztąd na żółkiewskie — ale en carière!

— Co dostanę?... trzy guldeny, albo dwadzieścia cztery godzin aresztu!

* * *

Najlepszym dowodem twierdzenia, że piekarzom się powodzi doskonale, jest fakt, że mają codzień *pieczenie!*...

* * *

— Co to? boli pana kolano?

— Gdzieżtam! głowa mnie boli.

— A czegóż się pan chwyta za kolano!

— Ach, bo już doprawdy z tych zmartwień nie wiem, gdzie moja głowa!

* * *

Do naprawy.

— Dokąd to, Macieju, niesiecie tego koguta?

— Do zegarmistrza, żeby bestyą narychtował, bo dawniej piał regularnie o północku, a teraz to się ciągiem spóźnia.

* * *

Znajomość przez telefon.

— Powiadasz, że codziennie rozmawiasz z Iksem, a nie wiesz, jak on wygląda. To niepodobna!

— Ależ ja z nim rozmawiam — przez telefon.

Czas największy odnawiać przedpłatę!

Prosimy odciąć.

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr 1908 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1 50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,50 M. erhalten zu haben bescheinigt

............................, den .... 1908.

Kaiserl. Post ....